

NR 7-8
(1552-1553)
1992

rodzina

MIESIĘCZNIK KATOLICKI • LIPIEC—SIERPIEŃ 1992 • CENA 5000 ZŁ



W tych rozważaniach chciałbym przypomnieć dwie przypowieści trzeciej Ewangelii, które są czytane w naszych kościołach w lipcu i sierpniu: o miłosiernym Samarytaninie (10, 23-37) oraz o faryzeuszu i celniku (18, 9-14).

Pierwsza przypowieść o miłosiernym Samarytaninie jest wyjaśnieniem danym uczonemu prawnikowi, który pytał o sposób uzyskania życia wiecznego, a w związku z tym i o to, kto jest bliźnim. Oto odpowiedź Chrystusa na to pytanie.

„Jezus, podejmując pytanie, powiedział: *Pewien człowiek zstępował z Jeruzalem do Jerycha i wpadł między zbójców, którzy go ograbili, pobili i odeszli, pozostawiając na pół umartwego. A przypadkiem pewien kapłan zstępował tą drogą i gdy zobaczył go, ominął. Podobnie jak lewita, gdy przybył na to miejsce i zobaczył, ominął. A pewien Samarytanin, odbywając podróż, gdy tu*



Przypowieści o miłości i modlitwie

przybył i zobaczył, użalił się. I podszedł, obwiązał jego rany, zalewając je oliwą i winem, a potem posadził go na swoje juczne zwierzę, zabrał do gospody i pielęgnował go. I nazajutrz wyjął dwa denary, dał właścicielowi gospody i powiedział: Pielęgnuj go, a jeśli coś więcej wydasz, ja, gdy będę wracał, oddam tobie” (Łk 10, 30-35).

Cała akcja przypowieści rozgrywa się na Pustyni Judzkiej, między Jeruzolimą i Jerychem. Odległość pomiędzy tymi miastami wynosi około 27 km, a droga należała wówczas do niebezpiecznych z powodu dużej liczby napadów. Na tej drodze został napadnięty i pobity człowiek. Obok niego przechodzą trzy postacie, które występują tu w hierarchicznym porządku: kapłan, lewita, a na końcu mały znaczący Samarytanin. O pojawieniu się kapłana i lewity zdecydował fakt, że Jerycho należało do miast kapłańskich. Ci dwaj zatem wracali z pewnością ze swej służby, sprawowanej przez cały tydzień. Można się domyślać, że pełni jeszcze byli religijnych przeżyć, wynikających z rozważanego słowa Bożego. Ludzie ci znali niewątpliwie Prawo, a więc — zdawałoby się — bliscy Boga i spełniający Jego wolę.

Natomiast Samarytanin tworzy w tej przypowieści podwójny kontrast, z jednej

strony, narodowościowo-religijny, a z drugiej, postępowania wobec napadniętego człowieka. „A pewien Samarytanin (...) zobaczył, użalił się. I podszedł, obwiązał jego rany (...)”.

Przypowieść ta poucza o tym, kto jest bliźnim, a jednocześnie przestrzega przed zacieśnianiem kręgu tych, którym powinniśmy pomóc. Bliźnim jest ten, kto potrzebuje pomocy.

★

Druga zaś przypowieść: o faryzeuszu i celniku, poucza nas o tym, że w czasie modlitwy powinniśmy zachować postawę pełną pokory i miłości wobec Boga.

„A powiedział też do tych, którzy uważali siebie za sprawiedliwych, a innymi pogardzali, tę przypowieść: *Dwaj ludzie weszli do świątyni, aby się modlić — jeden faryzeusz i drugi celnik. Faryzeusz, stojąc, tak w sobie się modlił: Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak reszta ludzi — złodzieje, niesprawiedliwi, cudzołzniczy, albo jak i ten celnik. Poszczę dwa razy w tygodniu, składam dziesięcinę ze wszystkiego, co nabywam. A celnik, stojąc daleko, nawet oczu nie chciał wnieść do nieba, lecz bił się w swoją pierś i mówił: Boże, bądź miłosierny mnie, grzesznikowi. Powiadam wam: Ten zstąpił do swego*

domu usprawiedliwiony, a nie tamtem. Każdy bowiem, kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się poniża, będzie wywyższony” (Łk 18, 9-14).

Dwaj ludzie wchodzą do świątyni jerozolimskiej: faryzeusz i celnik. Faryzeusz to człowiek wierny całkowicie wszystkim przepisom Prawa i tradycji; celnik natomiast to współpracownik okupanta żyjący z jego pensji, łamiący bez końca Prawo i wszelkie nakazy. Modlitwa obydwóch zaczyna się od słowa: „Boże”. Jednak wielki istnieje kontrast między jedną i drugą modlitwą. Pierwsza mówi o gorliwej postawie faryzeusza, który bardzo starannie przestrzegał przepisów Prawa (post obowiązywał tylko w Dniu Przebłąkania, chociaż wielu Żydów pościło też w poniedziałki i czwartki, chcąc zadośćuczynić Bogu za grzechy pogan). Druga modlitwa to uznanie swej prawdziwej winy, która kazała stać z daleka i nie pozwalała nawet spojrzeć do góry, lecz bić się w pierś i wołać o zmiłowanie Boże.

Wynik modlitwy: „Ten (...) usprawiedliwiony, a nie tamtem”. W ustach Chrystusa sprawiedliwość faryzeusza nie znalazła pochwały, natomiast grzeszny celnik znalazł sprawiedliwość, ponieważ uznał swą winę i wyznał ją przed Bogiem.

Św. Augustyn

Św. Augustyn (Aurelius Augustinus) urodził się w Tagaście, w Numidii, 13 listopada 354 roku, zmarł w roku 430 w swojej biskupiej stolicy Hipponie (dziś Bone), obleganej w tym czasie przez Wandalów. W odróżnieniu od większości łacińskich i greckich Ojców Kościoła tego okresu, wywodzących się z wyższych warstw społeczeństwa, należy do klasy średniej. Jego wykształcenie jest typowe dla tego okresu, z gruntu literackie, a ponadto prawie wyłącznie łacińskie. Jego znajomość greki zawsze była powierzchowna i niedoskonała; do myśli greckiej dotarł jedynie poprzez tłumaczenia i adaptacje łacińskie.

Jego kariera uniwersytecka, rozpoczęta w Afryce, dalej rozwijała się w Rzymie, a następnie w Mediolanie. Mimo wychowania, jakie dała mu matka, gorliwa chrześcijanka, Augustyn dopiero w trzydziestym drugim roku życia opowiedział się za Kościołem i przyjął chrzest. Początkowo uległ wpływowi manicheizmu, który uważał się za doktrynę naukową i za doskonałą formę chrystianizmu.

Początkowy entuzjazm dla manicheizmu zaczął wygasać, gdy lata mijały, a manichejczycy nie odkrywali przed Augustynem swej obiecanej wiedzy i mądrości. Reakcją na nieudane próby rozwiązania problemów świata przy pomocy poglądów manichejczyków było przejście Augustyna do obozu sceptycyzmu, gdzie czuł się źle i pozostał krótko. Augustyn był sceptykiem w zakresie poznawczym, tzn. sądził (podobnie jak Piron), że prawda jest niepoznawalna, gdyż zarówno poznanie zmysłowe jak i rozumowe nas zawodzi. Augustyn przyjął sceptycyzm w tym zakresie od sceptyków Akademii Platońskiej, ale gdy dla nich pogląd, że w naszym poznaniu nie możemy osiągnąć prawdy kończył ich rozważania poznawcze, to dla Augustyna sceptycyzm był punktem wyjścia. Twierdził, że ponieważ nie można poznać przez zmysły i rozum, więc pozostaje poznanie przez wiarę. Augustyn przy pomocy sceptycyzmu jakgdyby oczyścił teren dla zaakceptowania poznania przez wiarę.

Gdy w roku 384, mając 29 lat, wyjeżdża do Rzymu, a w krótkim czasie otrzymuje katedrę wymowy w Mediolanie, spotyka się ze św. Ambrożym, którego osobowość wywarła duży wpływ na Augustyna. Kazania św. Ambrożego objawiły mu neoplatonizm, przez wielu chrześcijan tej epoki uważany za filozofię, w której chrystianizm mógł i powinien szukać oparcia, żeby budować własną teorię. Plotyn, którego Augustyn przeczytał w przekładzie łacińskim, spowodował ostateczny przełom. Augustyn staje się człowiekiem wierzącym, chrześcijaninem, choć początkowo jego znajomość doktryny chrześcijańskiej jest niewielka i trudno mu uzgodnić osobiste życie z wymaganiami chrześcijańskiej moralności.

Poznanie filozofii neoplatońskiej było dla Augustyna oczyszczeniem i uduchowieniem jego chrystianizmu. Ostatecznie rozbiło zarówno manichejski dualizm, jak i akademicki sceptycyzm, stawiając zamiast ich wewnętrznie sprzecznych systemów, system zwarty i konsekwentny. Zgodność niektórych partii „Ennead” Plotyna z prologiem Ewangelii św. Jana wywołała entuzjazm Augustyna i przekonanie o zgodności neoplatonizmu z Pismem św., choć w zasadzie tej zgodności za wiele nie ma.

Po przyjęciu chrztu 25 kwietnia 387 roku, Augustyn jeszcze do roku 388 przebywał w Mediolanie i Rzymie, a następnie wyjeżdża do Afryki, do Tagasty. W roku 391 zostaje kapłanem i pomocnikiem biskupa Waleriusza z Hippo Regius.

W roku 395 Augustyn zostaje biskupem Hippo Regius. Jego niezwykłe zdolności i ożywiona działalność uczyniły go nie tylko duchowym przywódcą chrześcijańskiej Afryki, ale w ogóle jedną z najbardziej w tym czasie znanych postaci Kościoła.

Twórczość Augustyna jest ogromna i różnorodna w formie. Znaczna jej część ma charakter doktryny i często przybiera kształt polemiki gdyż ma na celu zwalczanie bądź pogaństwa, bądź różnych błędów i herezji, jak manicheizm, arianizm, donatyzm, i pelagianizm, które zagrażały wówczas ortodoksji katolickiej, Rolę nauczania doktrynalnego, na skromniejszym poziomie, niż np. traktat „O Trójcy Świętej”, spełniały liczne kazania, na których znać wpływ wykształcenia retorycznego.



Ważne miejsce w twórczości Augustyna zajmuje egzegeza Pisma św. i to nie tylko w komentarzach poświęconych danemu dziełu biblijnemu, jak w „Wykładzie Psalmów”, ale w całej twórczości, pełnej cytatów i nawiązań do Starego i Nowego Testamentu. Biblia jest dla niego źródłem wszelkiej doktryny, pokarmem całego życia duchowego. Stanowi ona, z kaznodziejstwem kościelnym, któremu zresztą dostarcza wątku, fundament owej kultury chrześcijańskiej, jakiej teorię rozwija w dziele pt. „O nauce chrześcijańskiej”.

Z bogatej twórczości Augustyna na pierwszy plan wybija się kilka arcydzieł, w których najlepiej wyraża się wyjątkowa osobowość autora. Arcydziała te odzwierciedlają poszczególne etapy jego życia jako chrześcijanina. „Soliokwia” powstały tuż po jego przyjęciu chrztu, „Państwo Boże” napisane pod koniec życia (413–426), przynosi jednocześnie syntezę myśli chrześcijańskiej i filozofii historii. Pomiędzy tymi dwoma sytuuje się najbardziej znane dzieło Augustyna, które samo jedno wystarczyłoby, żeby zapewnić mu miejsce wśród mistrzów prozy łacińskiej i w literaturze powszechnej: „Wyznania”. Opublikował je po objęciu biskupstwa (397 r.). Jest to przede wszystkim autobiografia, w której analiza psychologiczna osiąga wyżyny wnikliwości. „Wyznania” ukazują drogę Augustyna do wiary, od dzieciństwa do czasu powrotu do Afryki. „Niespokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie”.

Augustyn całą istotą dążył do mistycznej unii z Bogiem, ale temu towarzyszyło działanie intelektu: aby wierzyć, trzeba rozumieć, bo wiara szuka, a inteligencja znajduje. Człowiek przez rozumienie własnej istoty dochodzi do Boga. Musi rozumieć, kim jest sam, aby wiedzieć, kim jest Bóg. Bóg i dusza — oto według Augustyna jedynie godne poznania cele. Augustyn zalicza się do wielkich mistyków, ale jest również jednym z mistrzów racjonalnej myśli teologicznej. W szczególności jest on, w duchu św. Pawła, teologiem łaski, a także Trójcy Świętej i Kościoła.



Po wystąpieniu Prezesa ZG STPK — bpa Wiktora Wysoczańskiego — głos zabrali przedstawiciele oddziałów terenowych STPK, którzy złożyli sprawozdanie z działalności swoich oddziałów.

Wiele emocji wywołała sprawa kolonii letnich dla dzieci. „Szczególnie dziś — powiedział ks. dr Tomasz Wójtowicz — gdy sytuacja wielu rodzin jest trudna, a niekiedy nawet tragiczna, Kościół powinien otoczyć opieką dzieci właśnie z tych rodzin. Przede wszystkim dla nich powinniśmy organizować kolonie letnie, dla innych kolonie i wypoczynek organizują wyspecjalizowane instytucje”.

Posiedzenie Zarządu Głównego STPK

W dniu 9 maja br. odbyło się w Warszawie posiedzenie Zarządu Głównego Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików.

Obrady otworzył Prezes ZG STPK — bp prof. dr hab. Wiktor Wysoczański — który bardzo serdecznie powitał uczestników posiedzenia. Po wspólnej modlitwie (poprowadził ją ks. dziekan Puszczyński) powołano protokolantów: mgr Anielę Zamoryło i red. Elżbietę Lorenc. Członkowie Zarządu Głównego przyjęli protokół z poprzedniego posiedzenia. Protokół odczytała mgr Krystyna Pernal.

Następnie głos zabrał Prezes ZG STPK, który poinformował zebranych o działalności Zarządu Głównego. Wiele miejsca bp Wiktor Wysoczański poświęcił — podobnie jak na poprzednim posiedzeniu — omówieniu kondycji finansowej Zakładów Przemysłowo-Usługowych „Polkat”. Sytuacja gospodarcza tych zakładów jest ściśle związana z sytuacją ekonomiczną w całym kraju. Niestety, ta sytuacja wciąż jest bardzo trudna, chociaż istnieje nadzieja, że pod koniec tego roku może nastąpić niewielka poprawa.

Bp Wiktor Wysoczański poinformował zebranych, że Prezydium Zarządu Głównego STPK zamierza powołać fundację im. bpa Edwarda Herzoga (biskup Kościoła starokatolickiego w Szwajcarii — bardzo życzliwie nastawiony do Polaków w USA i Polsce). Fundacja ma służyć propagowaniu starokatolicyzmu w Polsce i działalności charytatywnej. Zdaniem Prezesa, w tej chwili jest to jedynie możliwa forma pomocy Zachodu dla Kościoła w Polsce. Stowarzyszenie, które jest podstawowym źródłem finansowania Kościoła, powinno wykorzystywać wszystkie sposoby wspierania Kościoła. Starokatolicy będą nam pomagali, ale chcą, aby ta pomoc służyła rozwojowi starokatolicyzmu w Polsce i naszej pełniejszej integracji z Unią Utrechcką, co jest możliwe jedynie wtedy, gdy przyjęta w Europie Wschodniej filozofia zmian, stanie się także inspiracją dla nas.



„Chciałbym, abyśmy wszyscy to sobie uświadomili, że wprawdzie Kościół jest dzisiaj w trudnej sytuacji, ale STPK i „Polkat” również przeżywają bardzo trudny okres. Takie trudności mają prawie wszystkie zakłady w naszym kraju. Mamy nadzieję, że wieloletnie kroki podejmowane przez Prezydium ZG STPK i Dyрекcję ZPU „Polkat” — pomimo złożonej sytuacji politycznej i ekonomicznej w naszym kraju — doprowadzą do poprawy warunków ekonomicznych w naszych przedsiębiorstwach. Wymaga to ogromnego wysiłku nas wszystkich”.

Następnie Prezes omówił sytuację Instytutu Wydawniczego im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, który nadal będzie się zajmował popularyzowaniem starokatolicyzmu, Kościoła Polskokatolickiego i celów statutowych STPK. Będzie wydawany miesięcznik „Rodzina”, kwartalnik teologiczno-filozoficzny „Poślanictwo”, zamierzamy także wydawać rocznik. Mamy świadomość tego, że nasze wydawnictwa skierowane są do niewielkiej społeczności i nie będą przynosiły zysku, ale pragniemy je utrzymać, gdyż popularyzują nasze, starokatolickie poglądy. Nie możemy z nich zrezygnować, one są jednym z zewnętrznych przejawów naszej obecności.

Następnie głos zabrał Dyrektor ZPU „Polkat”, mgr Krzysztof Gawlicki, który poinformował zebranych o stanie finansowym przedsiębiorstwa. „Utrzymaliśmy się na rynku w zakresie wyrobów elektro-mechanicznych — powiedział dyr. K. Gawlicki — niestety, nie w takim zakresie, w jakim planowaliśmy (nastąpiło zubożenie społeczeństwa). Natomiast zakłady antykorozyjne szukają zleceń. Jest to zadanie trudne, inwestorzy nie mają pieniędzy, upada wielki przemysł, z którym tradycyjnie współpracowaliśmy, np. stocznie. W tej chwili wielkie nadzieje wiążemy z rozwojem eksportu. Istnieją nawet pewne możliwości zwiększenia eksportu, ale mamy trudności w dobraniu (mimo bezrobocia) dobrej, wykwalifikowanej kadry pracowników (...). Taka sytuacja zmusza nas do zamrożenia inwestycji, brakuje pieniędzy nawet na planowane prace wykończeniowe. W naszych założeniach — zakończył dyr. K. Gawlicki — rok 1992 będzie jeszcze trudniejszy niż rok 1991”.

Na zakończenie, bp prof. Wiktor Wysoczański podziękował przedstawicielom oddziałów za zaangażowanie realizowanie celów statutowych Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików.

„Komunizm tkwi w nas wszystkich”

Fragment wypowiedzi Krzysztofa Kozłowskiego podczas międzynarodowej konferencji „Dekomunizacja i demokracja”, zorganizowanej w marcu 1992 roku przez Fundację Stefana Batorego.

„W wielu wypowiedziach łatwo dokonuje się podziału na niepodległościowców i zaprzalców, i to jakoś w nas pokutuje. Ja takich podziałów nie potrafię robić i nie wiem kto miałby być sędzią nas wszystkich. Gdzie są ci o czystych rękach, którzy mogliby z czystym sumieniem powiedzieć, że oni mają prawo. Dlatego nie o ludzi tu chodzi. Dekomunizujemy raczej struktury, metody, idee. Jak słyszę powtarzające się, że my walczyliśmy z komuną, to pytam, ilu was było. Bo w 1963 roku chyba 2-3 proc. aktywnie brało udział w powstaniu, w czasie okupacji hitlerowskiej aktywnie współdziałających z tzw. ruchem oporu było może 10 proc. Ilu było tych nieugiętych w ostatnim czterdziestolecu? Tak, to oni wyznaczają etos inteligencji i bez nich nic by nie było, ale nie przesadzajmy, **Komunizm tkwi w nas wszystkich** i może to jest dużo bardziej dotkliwe i niebezpieczne niż byli członkowie PZPR. Nie ich się boję, nie PZPR, nie zmywy postkomunistów, byłych esbeków. Jeżeli się boję, to swoich własnych reakcji, swoich własnych zachowań, które tak strasznie przypominają mi to, czego w gruncie rzeczy nienawidzę, po inteligentku nienawidzę: swojej własnej niekonsekwencji. I w tym sensie jest to babranie się we własnym wnętrzu. Ale tego nikt za nas nie robi, nie łudźmy się, że jedna dyskusja, jedna książka, jeden akt rozwiąże problem. Nikt nie rozwiązał do końca problemu kolaboracji z zaborcami i nawet nie usiłował tego tak naprawdę zrobić w niepodległej Polsce. To było ponad miarę. To nie jest usprawiedliwienie, wolałbym, żeby zbrodniarze wszyscy, którzy zawinili cierpieli, a sprawiedliwi byli nagradzani, bardzo bym tego chciał. Tylko jakoś nie widzę sposobu, żeby wyręczać Pana Boga (...).”

TRUDNE PYTANIA

Metafora i język

W dniu 3 czerwca br. odbyło się w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej sympozjum wewnątrzwydziałowe, którego temat — zaproponowany przez ks. prof. Witolda Benedyktowicza — stał się inspiracją dla tych rozważań. Książę Profesor, rozpoczynając rozważania na temat języka i metafory, przypomniał tekst z Dziejów Apostolskich o tym, jak Filip nawrócił dworzanina etiopskiego: „*Podejź i przyłącz się do tego wozu!* — powiedział Ducha do Filipa. Gdy Filip podbiegł, usłyszał, że tamten czyta proroka Izajasza: *Czy rozumiesz, co czytasz?* — zapytał” (Dz 8, 29-30).

To biblijne pytanie: *Czy rozumiesz, co czytasz?*, wywołuje inne pytania: czy rozumiesz, co mówisz?, czy rozumiesz np. metaforę Królestwa Bożego, sądu, Ojca? — są one skierowane do nas wszystkich. Zmuszają do refleksji, zaskakują i uświadamiają, odkrywają nowy obszar pytań, który tworzy istotę nauki. Metoda, którą zastosował Ks. Profesor nawiązuje do najwybitniejszych myślicieli. To przecież Platon utrzymywał, że *arche*, czyli prawdziwy początek filozofii, tkwi w zdziwieniu, natomiast Arystoteles w *Metafizyce* pierwszy interpretował to zdziwienie jako zaskoczenie; dzięki któremu ludzie uświadamiają sobie swoją ignorancję w stosunku do rzeczy, które mogą zostać poznane, zaczynając od tych, które są „blisko pod ręką” i postępując „od nich do spraw większych”. Arystoteles powiada: „Wszyscy zaczynają od zdziwienia (...), lecz koniec musi być czymś innym i lepszym (od zdziwienia), co następuje wraz z nauką”. Jestem przekonany, iż pytania postawione nam przez ks. W. Benedyktowicza uwolnią nas od niebezpieczeństwa, które leży w nieprzeparowanej oczywistości, jaką stwarza metafora odwołująca się do doświadczenia zmysłowego. Teraz widzimy wyraźniej, że poza napisanymi słowami pozostaje jeszcze coś „niewyraźnego”, coś, czego jesteśmy świadomi, gdy myślimy, natomiast trudniej to wyrazić, gdy mówimy lub piszemy.

Wittgenstein w *Dociekaniach filozoficznych* pisał: „Zdarza się, że już samo postawienie pytania *dłaczego?* uświadamia nam istotne fakty, a wtedy w toku dociekań te fakty prowadzą nas do odpowiedzi”.

Według Kanta mówienie za pomocą analogii, czyli w języku metaforycznym, jest jedynym sposobem, w jaki może przejawiać się umysł spekulatywny, czyli czynność myślenia. Metafora wyposaża myśl abstrakcyjną, pozbawioną danych naocznych, w intuicje pochodzące ze świata zjawisk, których funkcją jest „*zapewnienie realności naszym pojęciom*”, a więc tym samym jakby niweczy owo wycofanie się ze świata zjawisk, które jest wstępnym warunkiem aktywności umysłowej.

Metafora pojawia się tam, gdzie rozum musi transcendować granice danego świata i prowadzić tam, gdzie „*nie ma żadnych danych naocznych odpowiadających pojęciom rozumu*”. Metafora dokonuje „przeniesienia” — *metapherein* — prawdziwego i zdawałoby się niemożliwego *metabasis eis* albo *genos*, przejścia od jednego stanu egzystencjalnego, jakim jest myślenie, do innego, jakim jest bycie zjawiskiem wśród zjawisk, a to może być dokonane jedynie przez analogie. (Ks. Witold Benedyktowicz podał jako jeden z przykładów metafory stosowanej w Biblii pojęcie sądu. Między biblijnym sądem ostatecznym a sądem w życiu doczesnym nie ma wprawdzie prawie żadnego podobieństwa, ale zachodzi ono między prawidłami refleksji nad jednym i drugim oraz nad ich przyczynowością. Według Kanta: „*Nasz język pełen jest tego rodzaju pośrednich przedstawień unaoczniających, opierających się na analogii, wskutek czego wyraz nie zawiera właściwego schematu dla pojęcia, lecz jedynie symbol dla refleksji*”).

Teoria dwóch światów jest złudzeniem metafizycznym; jest złudzeniem, które jak plaga dotyka doświadczenia myślenia. Język, dzięki swemu metaforycznemu użyciu, umożliwia nam myślenie, czyli kontakt z kwestiami niezmysłowymi, ponieważ pozwala na przenoszenie, *metapherein*, naszego doświadczenia zmysłowego. Nie ma dwóch światów, ponieważ metafora łączy je w jedność.

W miesięczniku „Jednota” (4/92) ukazał się wywiad z bpem Wikto-rem Wysoczańskim, rektorem Chrześcijańskiej Akademii Teologi- cznej, który przeprowadził redaktor naczelny, ks. Bogdan Tranda. Dzięki uprzejmości „Jednoty” publikujemy ten interesujący wywiad na łamach „Rodziny”.

Wywiad z ks. bp. Wikto-rem Wysoczańskim — rektorem Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej



Ks. Bogdan Tranda — 24 kwietnia 1990 r. Senat Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej wybrał Księdza Biskupa jej rektorem. Dotychczas Uczelnią kierowali profesorowie wyznania luterańskiego, jest więc Książd pierwszym jej szefem innego wyznania. Czy wpłynie to na oblicze Akademii?

Ks. Rektor Wiktor Wysoczański: — Urząd rektora pełnię dopiero od 1 grudnia 1990 r. To zaś, że wybrano mnie, tzn. nie tylko nauczyciela akademickiego ChAT, ale także biskupa starokatolickiego, potwierdza ekumeniczny charakter tej uczelni. Nie trzeba się obawiać, że sekcja starokatolicka zostanie odtąd uprzywilejowana. Tak jak dotychczas, wszystkie sekcje będą traktowane jednakowo. Przyczyną wszelkich przekształceń jest zmieniająca się sytuacja Uczelni, decydują więc o nich względy merytoryczne, a nie personalne.

B.T. — W 1954 r. władze PRL zlikwidowały istniejący od 1920 r. Wydział Teologii Ewangelicznej Uniwersytetu Warszawskiego w nadziei, że dzięki temu sprawa kształcenia duchownych sama upadnie. Zezwolono jednak na utworzenie ChAT, odcinając nową uczelnię od jej uniwersyteckich korzeni. Tymczasem ona nie tylko przetrwała, ale i rozrosła się. Czy wszystkie nowe możliwości zostały wykorzystane?

W.W. — Nasza Akademia miała najpierw dwie sekcje: ewangelicką i starokatolicką (sekcja teologii prawosławnej istnieje od 1957 r.) i od początku rozwijała się w niełatwych warunkach, podobnie jak inne uczelnie teologiczne. Na pewno nie możemy się uskarżać na nadmiar pomocy państwa przed rokiem 1989, ani na zrozumienie wszelkich naszych potrzeb. Studia teologiczne mają bardzo szeroki zakres, poza ściśle teologicznymi przedmiotami obejmują także zajęcia z lingwistyki, historii, nauk społecznych itd. Dobór kadry do tak rozbudowanego programu nie był nigdy rzeczą łatwą, bo albo istniały ograniczenia etatowe, albo Kościoły nie mogły zaproponować odpowiednich kandydatów na wykładowców. Uważam jednak, że mimo wszystko, stan kadr nauczycielskich jest zadowalający,

uczelnia się rozrosła, ma też większe możliwości. Świadczy o tym np. utworzenie w ubiegłym roku Ekumenicznego Instytutu Pedagogiczno-Katechetycznego ChAT. A zatem potrafimy w nowy i twórczy sposób wykorzystywać szanse uczelni.

B.T. — Ilu studentów reprezentuje poszczególne wyznania?

W.W. — Tradycyjnie najliczniejsza jest sekcja ewangelicka, skupiająca słuchaczy z różnych Kościołów protestanckich. Studiuje tu 103 osoby, przy czym największej jest studentów z Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego (40 osób). Jedyne w sekcji prawosławnej są przedstawiciele tylko jednego Kościoła (33 osoby). Najmniej liczna jest sekcja starokatolicka, kształcąca szesnastu słuchaczy z Kościoła Polskokatolickiego. W bieżącym roku akademickim studiuje tu także trzy osoby z Kościoła Rzymskokatolickiego. Ogółem na studiach dziennych jest 152 słuchaczy i około 70 na studiach zaocznych.

B.T. — A ilu jest samodzielnych pracowników naukowych w poszczególnych sekcjach? Czy są obecnie jacyś nowi nauczyciele?

W.W. — W Akademii pracuje 35 nauczycieli akademickich różnych wyznań. W ciągu ostatniego roku nastąpiło pewne odmłodzenie kadry i poszerzenie zakresu jej specjalizacji ze względu na utworzenie Ekumenicznego Instytutu Pedagogiczno-Katechetycznego. To odmłodzenie kadry zostało przyspieszone odchodzeniem profesorów: w grudniu 1990 r. zmarł ks. prof. dr Jan Niemczyk, od września 1991 r. na emeryturę odeszli księża profesorowie Witold Benedyktowicz i Jerzy Gryniakow. Obecnie na etatach profesorskich zatrudniamy ośmiu nauczycieli akademickich (w sekcji ewangelickiej — 2, w sekcji prawosławnej — 4, w sekcji starokatolickiej — 1 oraz 1 osoba prowadząca zajęcia dla wszystkich słuchaczy).

B.T. — Wspominam z wdzięcznością moich profesorów, byli to ludzie o nieprzeciętnej wie-

dzy, jak na przykład ks. prof. Jan Szeruda, znawca języka hebrajskiego i Starego Testamentu, ks. prof. Adolf Suess, specjalista egzegezy Nowego Testamentu, ks. prof. Karol Wolfram, również specjalista w zakresie Nowego Testamentu, ks. prof. Wiktor Niemczyk, religioznawca i wykładowca teologii systematycznej. Co się robi, aby zapewnić uczelni również dobrych naukowców i pedagogów?

W.W. — Nie są to, oczywiście, wszyscy wybitni profesorowie Akademii. Pragnę jeszcze wspomnieć nieżyjących profesorów: Oskara Bartla, ks. Woldemara Gastpary'ego i bp. Andrzeja Wantułę oraz ks. Jerzego Klingera z sekcji prawosławnej. Mamy takich ludzi, jakich do naszej dyspozycji stawiają środowiska kościelne. Dobór nauczycieli akademickich nie jest sprawą łatwą. Nie wszyscy profesorowie zostawili następców na swoich katedrach. Trudno np. znaleźć znawcę Starego Testamentu. Wysokie wymagania językowe zmuszają do bardzo starannej selekcji ewentualnych kandydatów, a np. znajomość języka hebrajskiego jest umiejętnością zdobywaną przez długie lata. Tymczasem na naszych oczach obumiera etos pracownika nauki. Nie każdy, nawet bardzo utalentowany student, wyraża zainteresowanie pracą naukową, więc choć Uczelnia stawia na ludzi młodych, po prostu brakuje chętnych. A gdyby się tacy znaleźli, to zdobycie wiedzy i kolejnych stopni naukowych jest sprawą wielu lat.

B.T. — Czy za normalne uważa Książd Rektor zjawisko, że profesorowie i inni pracownicy nauki mieszkają i pracują np. na Śląsku, a do Warszawy tylko dojeżdżają na zajęcia ze studentami?

W.W. — Wielu pracowników dydaktycznych służy jednocześnie swoim Kościołom, które nie mogą sobie pozwolić na oddelegowanie duchownych wyłącznie do pracy dydaktycznej i naukowej. Większość duchownych pracujących w Akademii również nie chce rezygnować z pracy duszpasterskiej. Władze niektórych Kościołów deklarują, że stopniowo będą odciażać księży zatrudnionych w ChAT

od ich obowiązków w parafiach, ale wymaga to pewnej reorganizacji pracy kościelnej, co nie od nas zależy.

B.T. — Dokąd kandydaci na pracowników naukowych wyjeżdżają na studia uzupełniające?

W.W. — Przede wszystkim jest to Uniwersytet w Bonn dla protestantów i uczelnie teologiczne w Zagorsku, Belgradzie, Atenach oraz Instytut św. Sergiusza w Paryżu dla prawosławnych. Na Wydziale Teologii Starokatolickiej Uniwersytetu w Bernie odbywają studia uzupełniające starokatolicy, studiuje tam także prawosławni, i to z wielu krajów. Współpraca Kościołów i naszej Akademii z zagranicznymi instytucjami kościelnymi i ekumenicznymi owocuje nowymi możliwościami. Absolwenci ChAT trafiają na uczelnie szwajcarskie i niemieckie: w Erlandze, Marburgu i Monachium. Została też nawiązana współpraca ze Skandynawią (z Wydziałami Teologicznymi w Helsinkach i Uppsali). Szersza wymiana naukowa oraz przyjazdy profesorów z zagranicy byłoby możliwe, gdyby nie to, że szereg ewentualnych przedsięwzięć rozбивa się o kwestie finansowe i brak mieszkań dla przyjeżdżających. Niestety, niektóre z naszych Kościołów nie wychodzą poza obietnice udzielenia takiej pomocy.

B.T. — Jak przebiega współpraca z pokrewnymi uczelniami, takimi jak ATK, KUL czy Wydział Teologii Uniwersytetu w Bonn? Czy istnieją jakieś kontakty z Wydziałem im. J.A. Komeńskiego w Pradze?

W.W. — Współpraca z uczelniami rzymskokatolickimi ma już wieloletnią tradycję i układa się dobrze, powiedziałbym nawet, że z roku na rok coraz lepiej. Widząc nasze problemy kadrowe, uczelnie te są skłonne nam pomóc w przeprowadzaniu przewodów doktorskich i habilitacyjnych. Studenci ATK, specjalizujący się w tematyce ekumenicznej, korzystają z wykładów naszych profesorów. Wspólnie z ATK i Instytutem Ekumenicznym KUL organizujemy od pewnego czasu sympozja naukowe. Jedno z nich, poświęcone zagadnieniu: „Jedność Kościołów — jedność Europy”, odbyło się wiosną. W listopadzie ub.r. bp prof. dr Alfons Nossol, kierownik Instytutu Ekumenicznego KUL, a jednocześnie przewodniczący Komisji Episkopatu ds. Ekumenizmu, wygłosił referat na zorganizowanej przez ChAT i PRE sesji poświęconej VII Zgromadzeniu Ogólnemu Światowej Rady Kościołów w Canberze. W przeszłości zdarzała się wymiana wykładowców między ChAT a ATK. Cieszyłbym się bardzo, gdyby taka wymiana, także z udziałem KUL, została wznowiona i stała się regułą w naszych wzajemnych stosunkach. Przed kilkunastu laty zawarto umowę międzypaństwową o wymianie wykładowców i studentów między Reńskim Uniwersytetem im. Fryderyka Wilhelma w Bonn i pięcioma uczelniami Warszawy, m.in. między tamtejszym Fakultetem Teologii Ewangelickiej i naszą uczelnią. Wciąż te kontakty utrzymujemy. Od wielu lat mamy też

dobre stosunki z Wydziałem Teologicznym im. J.A. Komeńskiego w Pradze, który po „aksamitnej rewolucji” został włączony do Uniwersytetu Karola.

B.T. — Mówi się, że ChAT jest uczelnią ekumeniczną. Ale czy nie jest to stan czysto formalny, sprowadzający się do istnienia trzech sekcji wyznaniowych w ramach jednej instytucji?

W.W. — ChAT jest uczelnią ekumeniczną nie tylko w znaczeniu czysto formalnym. Studenci i wykładowcy różnych wyznań przez kilka lat obcuje ze sobą na co dzień, razem się uczą i dyskutują o różnych sprawach, w tym także na temat różnic wyznaniowych. Dzięki tym codziennym kontaktom łatwiej im jest zaakceptować się nawzajem. Później nasi absolwenci spotykają się często już jako duszpasterze i przyjaciele, zadzierzgnięte w czasie studiów, uatwiają im wspólną działalność ekumeniczną. Przygotowaniem do tego od strony teologicznej są m.in. wykłady poświęcone istocie i zasadom ekumenizmu, prowadzone łącznie dla studentów wszystkich trzech sekcji.

B.T. — Czy program studiów przewiduje np. wykłady z teologii i liturgii prawosławnej dla ewangelików oraz starokatolików, i odwrotnie?

W.W. — Przed kilkunastu laty ewangelików i starokatolików obowiązywał wykład o istocie prawosławia, starokatolików i prawosławnych — o istocie ewangelicyzmu, a ewangelików i prawosławnych — o istocie starokatolicyzmu. Prowadzili je kompetentni wykładowcy poszczególnych tradycji wyznaniowych. Z nieznanych mi bliżej powodów tych zajęć później zaniechano. Wydaje mi się, że warto by je przywrócić. Wprawdzie w ramach przedmiotu zwanego symboliką prowadzi się wykłady na temat zasad wiary i życia kultowego głównych tradycji chrześcijaństwa, ale przedmiot ten obowiązuje tylko studentów sekcji ewangelickiej. Powinniśmy jednak starać się, aby absolwent Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej nie tylko akceptował i szanował ludzi, ale również posiadał solidną wiedzę na temat innych wyznań.

B.T. — A jaki jest powód utworzenia Instytutu Katechetycznego ChAT?

W.W. — Powołanie Ekumenicznego Instytutu Pedagogiczno-Katechetycznego jest odpowiedzią na wyzwanie, jakim stało się wprowadzenie do szkół nauki religii. Zgodnie z porozumieniem, zawartym z Ministerstwem Edukacji Narodowej, chcemy tak kształtować studentów, aby absolwenci Instytutu mogli prowadzić nie tylko zajęcia z religii, ale także — w razie potrzeby — lekcje przedmiotów humanistycznych (filozofii, historii, historii kultury, ekologii). Administracja oświatowa będzie coraz konsekwentniej wymagać od nauczycieli wyższego wykształcenia. Ambicją Kościołów mniejszościowych w Polsce powinno być posiadanie naprawdę profesjonalnych kadr katechetycznych.

B.T. Młodzi duchowni, absolwenci ChAT, wykazują często duże braki w zakresie kaznodziejstwa, nie umieją poprawnie mówić ani pisać, popełniają podstawowe błędy językowe, wielu z nich ma fatalną dykcję. Rozumiem, że są to przeważnie braki wyniesione ze szkoły średniej, ale należałoby coś z tym zrobić. Mowa jest przecież podstawowym narzędziem pracy absolwenta ChAT, a narzędzie pracy powinno być możliwie najdoskonalsze.

W.W. — Zajęcia z dykcji i ertoepii wprowadzone zostały pod koniec lat 70., ale zdarza się, że na studia przychodzą osoby, które mają wrodzone wady wymowy; w takim przypadku trudno jest coś zmienić, nawet przez bardzo intensywne ćwiczenia. Nie bardzo rozumiem, dlaczego niektóre Kościoły nie uprzedzają swoich kandydatów na studia o wymogach późniejszej pracy kaznodziejskiej i stwarzają złudne nadzieje osobom, które nie będą mogły się w niej sprawdzić. A co do błędów językowych, to nie można za nie winić tylko szkoły i Akademii — ostatecznie podstawowe przywary językowe wynosi się z domu.

B.T. — Czy zmiany, jakie nastąpiły w naszym kraju w ciągu trzech ubiegłych lat, miały jakiś wpływ na program nauczania? Czy prawdą jest, że np. historii filozofii studenci muszą się uczyć z podręcznika opracowanego w duchu realnego socjalizmu? Istnieje przecież znakomity podręcznik prof. Tatarkiewicza.

W.W. — Zgadza się, że „Historia filozofii” prof. Władysława Tatarkiewicza jest znakomita, i sam zresztą się z tej książki uczyłem. Natomiast trudno jest mi ingerować, jeśli wykładowcy polecają jakiś podręcznik jako lekturę uzupełniającą. Dodam, że podręcznik prof. Tatarkiewicza jest obowiązkowy przy egzaminie z filozofii religii.

B.T. — Czasy są teraz nie tylko inne, ale i niesłychanie trudne pod względem ekonomicznym. Jak uczelnia radzi sobie finansowo?

W.W. — Czasy rzeczywiście są bardzo trudne. Wprawdzie minister edukacji narodowej prof. Andrzej Stelmachowski oświadczył, że ma plany powstrzymania degradacji nauki i oświaty, ale nie powiedział, co robi w sytuacji, gdy już w pierwszym kwartale 1992 r. MEN nie otrzyma zaplanowanych pieniędzy. A grozi nam przecież — całej oświacie — całkowite załamanie procesu kształcenia.

B.T. — Czy Kościoły w dostatecznym stopniu troszczą się o Akademię, w której kształcą się ich przyszli duszpasterze?

W.W. — Wierzę, że przy tak trudnej sytuacji gospodarczej kraju Kościoły zdają sobie sprawę, z jakimi trudnościami i my się borykamy, i zwrócą większą niż dotąd uwagę na naszą uczelnię. Może pomogą studentom w ich kłopotach mieszkaniowych. Mile widzielibyśmy także wsparcie finansowe.

B.T. — Dziękuję za rozmowę i życzę Księdzu Rektorowi sukcesów w kierowaniu tą trudną placówką.

Samobójstwo

Od wieków ludzie starali się przeciwdziałać postępowaniu samobójców. Najpierw podchodzono do tego zagadnienia od strony teologicznej, etycznej i filozoficznej. W ostatnich czasach doszły jeszcze badania socjologiczne i psychologiczne. Pomimo tych różnorodnych i długich badań wiele pozostało zagadkowych problemów w tej dziedzinie.

Wielkie poruszenie zrobiła na świecie książka R.A. Moody pt., „Życie po życiu”, a po niej „Refleksje o życiu po życiu” — tego samego autora. Autor spróbował pokonać barierę milczenia i na forum publicznym opowiedzieć o przeżyciach ludzi, którzy zetknęli się ze śmiercią. Relacje z przeżyć po śmierci klinicznej dotyczą również samobójców.

Oto niektóre ze wspomnianych relacji:

„Podczas gdy byłem po drugiej stronie życia, miałem uczucie, że dwie rzeczy są kompletnie mi zabronione: zabić siebie lub zabić kogoś... Gdybym miał popełnić samobójstwo, to odrzuciłbym dar Boga... Zabijając kogoś innego, mieszałbym się do planów Boga”.

Inny mężczyzna, który wrócił do życia po śmierci klinicznej trwającej dłuższy czas, powiedział, że gdy był w „innym życiu” to miał wrażenie, iż za samobójstwo płaci się karę i że część tej kary spada na tych, którzy przyczynili się do samobójstwa.

Wszyscy ci ludzie zgadzają się w jednym punkcie: odczuli, że ich próby samobójstwa nie rozwiązały niczego. Stwierdzili, że byli zaplątani tam w takie same problemy, od których próbowali

uciec. Każda trudność, którą próbowali przezwyciężyć była po drugiej stronie nadal nierozwiązana. Jedna z osób wspomniała, że była w sytuacji — pułapce i to spowodowało, że popełniła samobójstwo. A stan spraw, które miała przed „śmiercią” ciągle powtarzał się, jak jakiś cykl tej sytuacji.

„Problem, o którym panu powiedziałam, patrząc z dystansu czasu, nie jest tak ważny. Ale w owym czasie, gdy miałam tamte lata, zdawał się bardzo ważny... istniał on w dalszym ciągu, nawet kiedy „umarłam”. Stale się powtarzał. Chciałam raz już przejść do końca, myślałam... i powiedzieć sobie: — oh, jestem szczęśliwa, że to już się skończyło, ale gdzież!... Znowu zaczęła się od początku i myślałam tylko: — oh nie, nie, żeby to nie było od początku!”

Wszyscy przywróceniu do życia zaznaczyli, że po przeżyciach po tamtej stronie, nigdy nie będą usiłowali popełnić znowu samobójstwa. Łączy ich jedno — zdają sobie sprawę z popełnionego błędu i są bardzo zadowoleni, że nie chcą tego powtarzać. Na pytanie, czy w świetle tego, co przeżyli, spróbowałby kiedy zabić się? Odpowiadali: „Nie, nie zrobiłbym tego znowu. Umrę śmiercią naturalną, po „drugiej stronie życia” zrozu miałem, że nasze życie tutaj, na Ziemi, jest tak krótkie, a tyle jest jeszcze do dokonania, gdy się żyje. Kiedy się umrze, to tam już jest Wieczność”.

Zauważmy, że te poglądy i przeżycia wykazują zbieżność z uczuciami wyrażonymi w starodawnym teologicznym zakazie samobójstwa. Teologowie i filozofowie w ciągu wieków byli przeciwni samobójstwu, jako ucieczce od rzeczywistości. Twierdzili, że życie jest „darem Boga” i nie do nas należy rozporządzenie nim. Platon uważał, że jesteśmy na Ziemi, jakby na posterunku i nie wolno nam z niego uciekać. Twierdził, że w istocie jesteśmy pod opieką Boga i nie możemy uwalniać się sami spod tej opieki. Św. Tomasz z Akwinu wysuwał wniosek, że skoro życie jest darem danym nam od Boga, to tylko On sam może osądzić, kiedy życie człowieka powinno się skończyć.

(M.)

ROZWAŻANIA W DRODZE

BYĆ MATKĄ — ZAJĘCIE NUDNE?

Wielu moich znajomych uważa, że bycie matką i gospodynią domową jest nudne i monotonne. Ponieważ nie pracuję zawodowo, wychowuję dwoje urwisów, czuję się w towarzystwie moich dawnych koleżanek z pracy trochę nieswojo. Mam wrażenie, że tracę z nimi kontakt, że jestem przez nich niedowartościowana, że patrzą na mnie jakby „z góry”. Czy rzeczywiście moja praca w domu jest gorsza od pracy zawodowej, czy też stają się powoli przysłowiową „kura domową”?

W pewnym sensie mają rację znajome naszej Czytelniczki twierdząc, że praca w domu jest zajęciem nudnym i monotonnym. Ale tak na dobrą sprawę — każde inne zajęcie może być równie nudne. Cóż podniecającego znajdziemy w pracy telefonistki, która przez cały okrągły dzień włącza i wyłącza wtyczki połączeń telefonicznych? Co pasjonować może dentystę, który cały dzień spędza na borowaniu i plombowaniu, plombowaniu i borowaniu? Jak się czuje prawnik czytający zakurzone książki w zacisznej bibliotece lub maszynistka przepisywająca stronę po stronie? Niewielu z nas doświadcza szczególnego bicia serca w każdym momencie naszego życia zawodowego.

„Co za urok, co za fascynujące życie musi mieć ten artysta” — tak często myślimy sobie, kiedy słuchamy koncertu w filharmonii lub oglądamy go w telewizji. A artysta jest przecież żmudnym rzemieślnikiem, ćwiczącym od rana do wieczora gamy, pasaże i wprawki. Takie jest jego życie „od kuchni”.

Instrumenty muzyczne są, jak wiadomo, strasznymi rozmówcami. Nie sądzę, by zawód gospodyni i matki był bardziej nudny niż większość innych zawodów, zwłaszcza jeśli kobieta nie zechce być odcięta od kontaktów z innymi ludźmi. Jeśli idzie natomiast o wagę zadania, żaden zawód nie ma takiej odpowiedzialności, jak formowanie i kształtowanie nowej istoty ludzkiej.

Warto przypomnieć matkom o jednej istotnej sprawie: nie zawsze będziecie dźwigać odpowiedzialność, która teraz na was spoczywa. Wasze dzieci będą z wami przez kilka krótkich lat, teraz podjęte przez was zobowiązania kiedyś będą wspomnieniem. Cieszcie się każdą chwilą tych dni — nawet w trudnych momentach i bądźcie zadowolone z dobrego wykonania jednego z najważniejszych zawodów.





Najświętsza Maryja Panna u boku Swego Syna (obraz nieznanego malarza z Warty, ok. 1475 r.)

Wniebowzięcie Najświętszej Maryi jest dziełem Boga. Nie jest tak, jak zmartwychwstanie i wniebowstąpienie Jezusa Chrystusa fundamentem naszej nadziei na zmartwychwstanie, ale owocem Chrystusowego zmartwychwstania i wywyższenia, a przez to wzmocnienia naszej nadziei.

Należy także pamiętać, że słowa Maryi (w chwili Zwiastowania): „niech mi się stanie według twego słowa” (Łk 1, 38), nie są jedynie Jej własnym osiągnięciem religijno-moralnym. Jest to odpowiedź wiary możliwa tylko dzięki łasce. Maryja jest więc

Wniebowzięcie Najświętszej Maryji Panny

15 sierpnia Kościół obchodzi uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

Matka Jezusa, wprawdzie nie pełniła posłannictwa apostoelskiego, ale współdziałała ze swym Synem dla zbawienia świata. Bliżej niż inni była sprawy, której On miał dokonać. Służyła sprawie zbawienia świata przez całe życie. Również teraz, przez swoje wstawiennictwo u Boga współdziała z Chrystusem nad zbawieniem świata.

Najświętsza Maryja Panna i Jej dzieje są ściśle zespolone z dziejami Pana Jezusa i wplecione w historię Odkupienia. Mówi więc już o Maryi Pismo św. Starego Testamentu. Oto na długo przed narodzeniem się Maryi, a potem Pana Jezusa, Pismo św. przepowiedziało przyjście „niewiasty”, która zetrze głowę węża” (Rdz 3, 15). Prorok Izajasz wyraźnie powiada: „Oto panna pocznie i porodzi syna i nazwą imię jego Emanuel” (7, 15). A Jeremiasz prorokował: „Pan stworzył nową rzecz na ziemi: białołowa ogarnie węża” (31, 22). Już tych kilka fragmentów Pisma św. świadczy, że Najświętsza Maryja Panna od wieków była przepowiadana jako Matka Syna Bożego, jako kobieta, którą Bóg wywyższył i upiękoczył ponad wszelkie stworzenie.

Prawda o wzięciu Maryi z duszą i ciałem do chwały nieba, poświadczona przez Tradycję w przekazach dających wyraz przekonaniu wiary, weszła na stałe do liturgii i pobożności Kościoła. A znane od piątego stulecia święto Wniebowzięcia Maryi wskazuje na trwające odtąd powszechne i zgodne przekonanie Kościoła.



W chwili śmierci Maryi Panny obecni byli Apostołowie. Została wzięta do nieba z ciałem i duszą (mal. Juan Carreso de Miranda).

także dla nas, grzeszników, znakiem łaski wybrania, powołania i świętości. Dlatego możemy wołać: „Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami, grzesznymi”.

Rozmyślając o Wniebowzięciu Maryi, rozważmy słowa Ludwika z Granady (1504—1588): „Trzeba mówić o nagrodzie, jaką otrzymała, a są nią przywileje udzielone Jej w tym dniu (tj. Wniebowzięcia). Między innymi, według św. Dionizego, jednym była obecność Apostołów w chwili Jej śmierci, co na pewno stanowiło dla Niej wielką pociechę, choć dla nich to chwila całkowitego opuszczenia, bo pozostali już sierotami bez Ojca i matki. Drugim przywilejem było wzięcie do nieba z duszą i ciałem, i to, że Jej najczystsze ciało nie podlegało zepsuciu. Potwierdza to św. Augustyn, mówiąc: „Nie mogę uwierzyć, ażeby to najczystsze ciało, z którego przyjął ciało Syn Boży, miało być wydane robakom na żer, a zatem nie mogę tego twierdzić”. Innym przywilejem było uroczyste przyjęcie, jakiego doznała, rozstawszy się z tym światem. O, gdybyż móc uczestniczyć w tej pełnej chwały procesji i cieszyć się tą uroczystością! Czytamy w żywotach niektórych świętych, m.in. św. Marcina, że w drodze do grobu towarzyszyły im niebiańskie śpiewy aniołów”.



Tu prawie 170 lat temu koncertował młody Fryderyk Chopin

się w listach do swego nauczyciela, profesora Elsnera. Na koncert na rzecz sierot po tragicznie zmarłym kuracjuszu dał się jednak namówić.

Obecnie w pałacyku, w którym grał Chopin 16 sierpnia 1826 r., w owym „Kurhausie”, znajduje się teatr jego imienia, z tablicą upamiętniającą tamte wydarzenia. W Parku Zdrojowym znajduje się także pomnik Chopina, odsłonięty 95 lat temu, 19 czerwca 1897 r. Powstał on z inicjatywy Wiktora Magnusa z Warszawy, a twórcą zdobiącego go pięknego medalionu z brązu był Roman Lenartowski. Na pomniku znajduje się łacińska inskrypcja „Polono Polonus erexit” („Polakowi Polak wystawił”).

Już w pierwszym roku po wojnie odbył się w Dusznikach pierwszy Festiwal Chopinowski — dziś najstarsza tego typu impreza w Polsce. Uczestniczą w Festiwalu najznakomitsi wykonawcy z kraju i zagranicy, laureaci Konkursów Chopinowskich.

W sierpniu w Dusznikach echo mazurków i nokturnów unosi się nad Parkiem Zdrojowym, muszłą koncertową i teatrem im. Chopina, aby rozpuścić się gdzieś hen, nad paryskim cmentarzem Père Lachaise...

opr. ed

W sierpniu w Dusznikach

Duszniki to jeden z najpiękniejszych polskich kurortów, położony między Górami Stołowymi a Górami Bystrzyckimi, na wysokości 550 m npm. nad Bystrzycą Dusznicką. Można tu leczyć choroby układu krążenia, dróg oddechowych oraz kobiece. Kuracjusze mogą wykorzystywać — oprócz zalet klimatycznych miejscowości — również znakomite źródło wód leczniczych, zawierających szczawy alkaliczne i żelaziste. A że ceniono i doceniano tę miejscowość od dawna, świadczy fakt, że już na początku XIX w. był to kurort, do którego lekarze kierowali swych pacjentów z różnych stron kraju.

W roku 1826 skierowano tu na kurację młodziutkiego i wciąż zapadającego na zdrowiu Fryderyka Chopina. W tym właśnie roku, 16 sierpnia, szesnastoletni podówczas Fryderyk Chopin dał „w sali Kurhausu” koncert, który w kilka dni później tak opisał „Kurier Warszawski”.

„List w tych dniach odebrany z Kudowy ze Szląska (o dwie mile od Rejnerc) zaszczytnie donosi o młodym artyście polskim Fryderyku Chopin, który ze zlecenia doktorów warszawskich dla polepszenia stanu zdrowia zostaje od niejakiego czasu w Rejnerc [jest to dawna, niemiecka nazwa Dusznik]. Tam bowiem, gdy kilkoro dzieci przez śmierć ojca do wód na kurację przybyłego, sierotami stały się, pan Chopin, ośmielony przez osoby talent jego znające, dał dwa koncerty na dochód tychże, co jemu wiele chwały, a tym nieszczęsnym niepospolite wsparcie przyniosło. (Ten młodzieniec po wielokroć w Warszawie dał się słyszeć na fortepianie i zawsze najzasłużeńsze odbierał uwielbienie młodego talentu)”

Młody Chopin musiał rzeczywiście porwać swą grą słuchaczy, bo oto jak pisze o tym wydarzeniu Ferdynand Hoesik:

„Jakoż w sali Kurhausu 16 sierpnia 1826 roku urzeczywistnił swój zamiar; szlachetny cel sprowadził mnóstwo słuchaczy, ci zaś usłyszawszy Chopina, tak byli oczarowani jego grą, że — ulegając powszechnym życzeniom — musiał powtórzyć swój koncert, na czym biedne sieroty wyszły najlepiej...”

A przecież dla artysty tej miary, jakim już wówczas był przecież Chopin, te dwa koncerty musiały być dość ciężkim przeżyciem. Czuł się w Dusznikach dobrze, stan zdrowia mu się poprawiał, przebywała tu w tym samym czasie spora grupa Polaków i w ogóle towarzystwo było interesujące — ale dla młodego pianisty jedna rzecz była trudna do zniesienia. Brakowało mu mianowicie dobrego fortepianu, na co wciąż uskarżał



Park Zdrojowy — pomnik Fryderyka Chopina z brązowym medalionem, dłuta Romana Lenartowskiego

EXPO '92

SEVILLA

Piękne będzie tegoroczne lato w Hiszpanii: Olimpiada w Barcelonie i Wystawa Światowa „EXPO '92” przyciągną bez wątpienia rzesze turystów, i tak zresztą nie skąpiących swej sympatii dla tego pięknego kraju.

Tym jednak, o wiele liczniejszym rzeszom turystów „in spe”, którzy Olimpiadę i Wystawę oglądać będą na ekranach telewizorów, chcieliśmy umożliwić poznanie i przybliżyć, choćby tylko przez fotografie, niektóre zabytki jednego z najpiękniejszych miast hiszpańskich, Sewilli.

Historia jej zaczyna się w VIII w. pne., ale legenda mówi, że została założona wcześniej, przez Herkulesa. Istniała już jednak na pewno od czasów kolonizacji fenickiej, a w czasach rzymskich nosiła nazwę Hispalis. Z biegiem czasu, gdy sąsiednia osada Italica znikła w czasie najazdu gockiego, Hispalis w r. 461 stała się stolicą najważniejszej prowincji królestwa Wizygotów. Od 712 roku pozostawała pod panowaniem arabskim, które wywarło niezatarty ślad na wyglądzie i charakterze miasta. Straciła wówczas trochę na znaczeniu na rzecz niezbyt odległej Kordoby, ale po upadku kalifatu Omajadów w Kordobie została znów stolicą — stolicą kalifatu Almohadów, znaną jako Isbillija — stąd Sewilla. Opuszczona przez mauretańskich mieszkańców podpadała, ale pod koniec XIV w. stała się drugą stolicą Kastylii.

Po odkryciu Ameryki w Sewilli właśnie skoncentrowały się handel z koloniami i sprawy administracyjne kolonii i wówczas urosła ona do największej potęgi.

Sewilla nie uległa zasadniczej przebudowie od czasów średniowiecza, zachowując swój patrycjuszowski charakter.

Liczne budowle i pałace arystokracji andaluzyjskiej należą do najpiękniejszych przykładów architektury hiszpańskiej „Złotego wieku” Sewilli, czyli XVI i XVII stulecia. Żyli i działali tu najwybitniejsi malarze, rzeźbiarze i poeci tego okresu: Cervantes, Velasquez, Murillo, Ribera, Zurbaran. To w Sewilli dokonywał swych największych podbojów Don Juan, to z Sewilli pochodził niejaki Figaro, cyrulik, znany ze sztuki Beaumarchais i z opery Rossiego. Stąd też pochodziła nieśmiertelna Carmen...

Dewizą Sewilli, wieńczoną na murach i innych zabytkach, jest węzeł, umieszczony między literami NO i DO. Węzeł to po hiszpańsku *madeja*, a zestaw słów „no-madeja-do”, skrót od „no me ha dejado” („nie opuściła mnie”) nadany został Sewilli w XIII wieku przez Alfonsa X Mądrego, po którego stronie miasto opowiedziało się podczas wojny domowej, wywołanej przez następcę tronu, Sancho.

Sewilla to także areny i walki byków — czyli tauromachia, to ośrodek kultury flamenco i „canto jondo” — szczególnego typu muzyki i pieśni.

Wśród zabytków Sewilli na pierwszym miejscu wymienić trzeba piękną katedrę gotycką i wieżę, zwaną Giralda, Alkazar Królewski, Złotą Wieżę i najstawniejsze i najpiękniejsze pałace: Casa de Pilatos (Dom Piłata) i casa de las Duenas.

La Giralda to dawny dawny minaret meczetu Almohadów zbudowany w XII w. na rzymskich fundamentach, nadbudowany partiami barokowymi. Ma 92 m. wysokości, a z jej szczytu można zobaczyć wspaniałą panoramę miasta i widok na Dziedziniec Pomarańczowy, niegdyś dziedziniec ablucyjny meczetu.

Katedra, której budowę rozpoczęto w 1402 r. na miejscu zburzonego wielkiego meczetu, jest czwartą co do wielkości chrześcijańską świątynią świata (przed nią są: kościół św. Piotra w Rzymie, św. Pawła w Londynie i św. Patryka w Nowym Jorku). Przy rozpoczęciu budowy powiedziano: „Zbudujemy gmach tak duży, iżby mówiono, że stawiali go szaleńcy”. I jest ogromna: ma

116 m długości i 76 szerokości, 5-nawowa, a w nawach bocznych ma 39 kaplic!

Innym pięknym zabytkiem jest Alkazar Królewski, dawna siedziba mauretańskich królów Sewilli, znacznie przebudowany i upiększony w 2 poł. XIV w. przez Piotra I, króla Kastylii. Alkazar ma przepiękne Patio de las Doncellas — dziedziniec Panien, prostokątne, otoczone galerią dębówkami, z niezwykle finezyjnymi dekoracjami.

Labyryn uliczek prowadzi do Domu Piłata — Casa de Pilatos, zbudowanego w XVI w. przez Pedra de Ribera, który po podróży do Ziemi Świętej chciał odtworzyć w Sewilli jerozolimską Pretorię, czyli Pałac Piłata, i Drogę Krzyżową pomiędzy tym pałacem a swą podmiejską posiadłością Cruz de Campo. Pałac, stanowiący dziś własność książąt Medinaceli jest niezwykle i harmonijną mieszanką stylów: późnego gotyku, mauretańskiego i renesansowego.

Ważnym zabytkiem miasta jest ośmiokątna „Złota Wieża”, zbudowana przez Almohadów w 1220 r., a nazwa jej pochodzi prawdopodobnie od złożonych płytek ceramicznych, którymi była obłożona. Przechowywano tu transporty złota i srebra z ma przepiękne Patio de las Doncellas — dziedziniec Panien, prostokątne, otoczone galerią z dobudówkami, z niezwykle podbitej Ameryki.

Jak wiele innych hiszpańskich miast, Sewilla również ma wiele pięknych ogrodów. Do najwspanialszych należy park Marii Luizy nad Gwadalkiwirem, w którym powietrze orzeźwia tysiąc fontann.

Casa de las Duenas to piękny pałac, wybudowany w XV w., siedziba rodowa książąt Alba. Jego wnętrza dostępne są dla zwiedzających tylko wówczas, gdy właściciele nie ma w Sewilli.

Na zwiedzanie najważniejszych choćby zabytków Sewilli trzeba przeznaczyć przynajmniej dwa dni. Nic więc dziwnego, że nasza wycieczka będzie tylko pobieżnym rzutem oka — i to na dodatek z lotu ptaka. Nie sposób jednak nie wspomnieć przy tym o współczesności — o wystawie EXPO '92, choć przecież i ona jak najściślej wiąże się z przeszłością, uświetnia bowiem 500. rocznicę wyprawy Krzysztofa Kolumba, który w służbie Katolickich Królów — Izabeli i Ferdynanda — wyruszył na zachód, poszukując krótszej drogi do Indii. Dwa tematy wiodące wystawy w Sewilli to „Era odkryć” i „Spotkania dwóch światów”.

Ta „Era odkryć” to, jak dziś wyraźnie widać, zarówno odkrycie Ameryki, jak i, jakże brzemienne w skutki dla tamtej strony, odkrycie Europy. Ówczesne spotkanie dwóch jakże różnych światów i jego skutki przez pół tysiąclecia prowadziło nieuchronnie do tego, co dziś, na naszych oczach ze światem — naszym jednym światem — się dzieje: do usilnych prób zjednoczenia tego świata ponad wszystkimi jego, jakże licznymi i krwawymi podziałami. Obyśmy wszyscy jak najprędzej i jak najdobitniej zrozumieli to przesłanie.

ed

EXP '92[®]

SEVILLA



Wszystkie zdjęcia —
Andrzej Derelkowski

Most na Guadalquivirze i panorama
Sewilli. W głębi katedra i La Giralda

Katedra w Sewilli — wejście główne,
Porta Mayor

Katedra — ten widok z lotu ptaka uka-
zuje jej ogrom





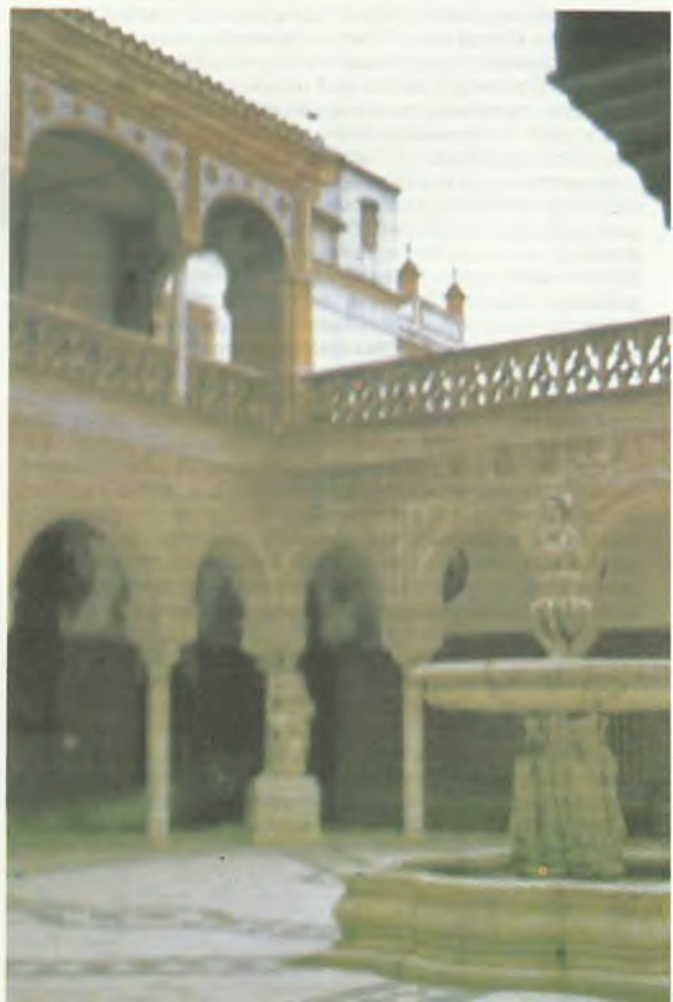
Widok z La Giraidy na Dziedziniec Pomarańczowy. Nazwa — La Giralda — pochodzi od obracającego się z wiatrem na jej szczycie 6-metrowego posągu Wiary, El Galdillo (*glat* — obracać się)

Alkazar Królewski — Patio de las Doncellas (Dziedziniec Panien)



Podobne, bardzo charakterystyczne dzwonnice, często nawet z czterema dzwonami, ma wiele kościołów i klasztorów w Sewilli

Charakterystyczne dla architektury południa patio — dziedziniec w Domu Piłata





„Idźcie więc i nauczajcie

Kościół chrześcijański, które w ciągu tylu wieków w życiu milionów ludzi odgrywały tak doniosłą rolę, istnieją dzięki nauce Jezusa Chrystusa. Ta nauka jest fundamentem trwałości Kościoła.

Jeżeli dziś chcemy zrozumieć, czym jest Kościół Jezusa Chrystusa, to nie wystarczy analizować jego sytuację i rolę w dzisiejszym świecie, ale należy cofnąć się do nauki, z której powstał, do czasów, w których zaczął się kształtować.

Wszystko zaczęło się w Palestynie, gdzie za czasów cesarza Augusta przyszedł na świat Jezus Chrystus. Nasze informacje o narodzinach i życiu Jezusa pochodzą głównie z Ewangelii. Palestyna podlegała w tym czasie władzy Cesarstwa Rzymskiego. Żydzi od dawna podlegali obcej władzy, najpierw Asyro-Babilończykom i Persom, potem greckim monarchom. Wchłonęli przez to wiele składników obcej kultury.

Jezus zaczął działalność publiczną po chrzcie, który otrzymał z rąk Jana Chrzciciela. Trwała ona według relacji św. Marka niewiele ponad rok, natomiast według relacji św. Jana najmniej trzy lata. Wprawdzie trudno jest ustalić dokładną chronologię wydarzeń, ale w każdym razie spotkanie Jezusa z Janem Chrzcicielem jest faktem bezspornym i decydującym dla dalszego przebiegu działalności Jezusa Chrystusa.

Jezus pochodził z północnej części Palestyny, z Galilei, zanim rozpoczął publiczną działalność, właśnie tam spędził większą część swojego życia. Tam powołał pierwszych uczniów, tam zaczął głosić swoją naukę, która spotkała się z życzliwym przyjęciem wśród rybaków z nad Jeziora Genezalet. Działalność publiczna Jezusa Chrystusa zakończyła się w Jerozolimie, ponieważ ściągnął on na siebie nienawiść dwóch głównych stronnictw religijno-politycznych judaizmu. Faryzeuszy gorzyszy swoboda, z jaką Jezus odnosił się do prawa Mojżeszowego i tradycji uczonych w Piśmie. Sadyceusze zaś uważali Jego naukę o bliskim królestwie niebieskim za agitację przeciw porządkowi społeczno-politycznemu.

Uczniowie, których Jezus zgromadził wokół siebie, od razu uznali Go za Mesjasza, którego w tym czasie oczekiwali wszyscy Żydzi. Świadczy o tym imię Chrystus, dołączone do Jego imienia przez pierwszych chrześcijan: „christos” jest bowiem greckim odpowiednikiem hebrajskiego „mesziah”, co znaczy „namaszczone”. Jednak Jego koncepcja własnej roli odbiegała od schematów tradycyjnych. Natchnienia i wzoru szukał raczej w biblijnej postaci cierpiącego Sługi (Iz 42, 44), niż w postaci Mesjasza — wojownika i tryumfatora.

Posłannictwo Jezusa osiąga punkt kulminacyjny w zapowiedzi królestwa, o którym Ewangelie mówią: „Królestwo Boże”, „Królestwo niebieskie”. Określenia te oznaczają ustanowienie rzeczywistej i nieograniczonej władzy Bożej nad ludzkością i światem. W nauce, którą głosił Jezus Chrystus, znajdujemy również zarys instytucji kościelnej. Określenie „Kościół” występuje w Ewangelii jako określenie społeczności lokalnej oraz w stynnym, często dyskutowanym wersecie odnoszącym się do

Piotra i wiary jako opoki Kościoła. Jezus ustanowił kolegium Dwunastu, które reprezentuje dwanaście pokoleń Izraela i jak gdyby fundament nowego, uświęconego Izraela, którego utworzenie poprzedza i zapowiada przyjęcie królestwa Bożego.

Podstawowe struktury chrześcijaństwa ukształtowały się w dwóch pierwszych wiekach. Zdaje się, że już gmina jerozolimska miała solidną strukturę, opartą na kolegium dwunastu apostołów, wśród których na czoło wybili się Piotr, Jan i Jakub. Autorytet Jakuba wynikał przede wszystkim z faktu, że był on „bratem Pana”.

W pismach ojców apostoelskich z końca I i na początku II wieku mowa jest o dwóch rodzajach funkcji. Jedni, nazywani diakonami, czuwają nad życiem materialnym wspólnot i nad działalnością charytatywną, drudzy spełniają funkcje przewodników duchowych i funkcje liturgiczne, a nazywani są prezbiterami, bądź biskupami. Funkcje zarówno diakonów, jak i prezbiterów-biskupów są kolegialne. W początkach II wieku, po raz pierwszy w Listach Ignacego z Antiochii, urzędy liturgiczne w każdej większej gminie dzielą się na: diakonów, prezbiterów, a na ich czele stoi jeden tylko biskup.

wszystkie narody”

Przez cały okres wczesnego chrześcijaństwa Kościół jest biskupi (nie papieski). Strażnikami wiary i przedstawicielami niepodzielnej władzy są zebrania biskupów — synody prowincjonalne, regionalne albo — jak np. w Nicei w roku 325 lub w Konstantynopolu w roku 381 — ekumeniczne, czyli powszechne.

Jezus Chrystus po to przyszedł na świat, aby go zbawić. „Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne. Bóg bowiem nie posłał Syna swego na świat po to, aby świat potępił, ale po to, aby świat został przez Niego zbawiony” (J 3, 16-17). Bóg umiłował ludzi i pragnie ich zbawić, a więc doprowadzić człowieka do szczęścia i życia wiecznego.

Kościół jest owocem dokonanego przez Jezusa zbawienia świata, ponieważ Kościół tworzą ludzie, którzy uwierzyli Jezusowi. A więc Kościołem są ludzie ze świata, na ile przyjmują dokonane przez Jezusa zbawienie. Jezus Chrystus przyszedł zbawić cały świat, wszystkich ludzi, a więc zwraca się do każdego człowieka poprzez Kościół, który nie jest społecznością zamkniętą, przeciwnie, winien być społecznością otwartą na innych. Prawda, jaką Chrystus przekazał Kościołowi, jest własnością całego świata.

Kościół, podobnie jak Chrystus, jest posłany na świat. Ludzie, którzy uwierzyli, że Jezus Chrystus przyniósł na świat zbawienie, mają obowiązek tę prawdę przekazywać innym. Wynika to wyraźnie z nakazu Chrystusa: „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego; uczcie je zachowywać wszystko, co wam przekazałem. A oto jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata” (Mt 28, 19-20).

Zadaniem Kościoła — powierzonym mu przez Chrystusa — jest głosić światu Ewangelię, sprawować kult Boży i uświęcać człowieka, prowadząc go do życia wiecznego. Choć działalność Kościoła zmierza ku życiu wiecznemu człowieka, wyciska także swe piętno na sprawach doczesnych. Nie oznacza to, że hierarchia kościelna ma rządzić sprawami doczesnymi, ma organizować życie społeczne, gospodarcze czy polityczne. Wpływ Kościoła na sprawy doczesne realizuje się przez to, że chrześcijanie będąc członkami Kościoła biorą czynny udział w życiu społecznym, gospodarczym i kulturalnym. Chrześcijanie świeccy mają więc angażować się w sprawy doczesne, ponieważ stanowią one właściwe miejsce ich ludzkiego życia. Kapłani mają za zadanie przede wszystkim sprawować czynności liturgiczne, natomiast chrześcijanie świeccy powinni — nie tylko ze względu na zwykłą ludzką konieczność, ale także ze względu na swe chrześcijańskie powołanie — zajmować się sprawami doczesnymi.

W tym roku przypada 50. rocznica śmierci i 100. rocznica urodzin Brunona Schulza, jednego z najznakomitszych pisarzy polskich naszego stulecia. Znalazł się on wśród milionów Żydów zamordowanych przez hitlerowców. W dniu 19 listopada 1942 roku Bruno Schulz został zamordowany na ulicy w Drohobyczu przez gestapowca Güntera. Do nocy ciało jego leżało na bruku, obok wielu innych zamordowanych tego dnia Żydów. W nocy przyjaciele pochowali go na miejscowym cmentarzu.

WIELKI WIZJONER

W ten sposób zginął jeden z najwybitniejszych twórców polskiej literatury, którego pisarstwo jest wizjonerstwem rodem ze snu, jakąś poetycką mitologią. „Każdy fragment rzeczywistości — pisze Bruno Schulz — żyje dzięki temu, że ma udział w jakimś sensie uniwersalnym. Stare kosmogonie wyrażały to sentencją, że na początku było Słowo. (...) Izolowane, mozaikowe słowo jest majaczeniem, krążącym dokoła sensu świata, było wielką uniwersalną całością. Słowo w potocznym dzisiejszym znaczeniu jest już tylko fragmentem, rudymmentem jakiejś dawnej wszechobejmującej, integralnej mitologii. Dlatego jest w nim dążność do odrastania, do regeneracji, do uzupełnienia się w pełny sens. (...) Poezja — to są krótkie spięcia sensu między słowami, raptowna regeneracja pierwotnych mitów. (...) Dlatego wszelka poezja jest mitologiczna, dąży do odtworzenia mitów o świecie. (...) Poeta przywraca słowom przewodnictwo przez nowe spięcia, które z kumulacji powstają”.

Pełna artystycznej perfekcji twórczość Brunona Schulza ma swe korzenie w mitach, w odwiecznych kosmogoniach, w starych wierzeniach. Tworzy on swoją własną mitologię, w której odwołuje się do dzieciństwa jako do „genialnej epoki”, umiyczniającej rzeczywistość. Mitologia Schulza narodziła się w jego mieszkaniu i właściwie poza mieszkanie nie wyszła: „Siedzę i słucham ciszy. Pokój jest po prostu wybielony wapnem. Czasem na białym suficie wystrzeli kurza łapka pęknięcia, czasem płatek tynku obsuwa się z szalestem. Czy mam zdradzić, że pokój jest zamurowany? Jakżeż to? Zamurowany? W jaki sposób mógłbym zeń wyjść? Otóż to właśnie: dla dobrej woli nie ma zapory, intensywnej chęci nic się nie oprze. Muszę sobie tylko wyobrazić drzwi, dobre stare drzwi jak w kuchni mego dzieciństwa, z żelazną klamką i rygłem. Nie ma pokoju tak zamurowanego, żeby się na takie drzwi zaufane nie otwierał, jeśli tylko starczy sił, aby mu je zainsynuować”.

Pośród różnych wypowiedzi Schulza warto zacytować jedną, która potwierdza istotny sens jego dzieła, a została wyrażona w liście z roku 1936 — jest to credo pisarza: „Zdaje mi się, że ten rodzaj sztuki, jaki mi leży na sercu, jest właśnie regresją, jest powrotnym dzieciństwem. Gdyby można było uwstecznić rozwój, osiągnąć jakąś okreśną drogą powtórne dzieciństwo, jeszcze raz mieć jego pełnię i bezmiar — to byłoby to ziszczaniem »genialnej epoki«, »czasów mesjaszowych«, które nam przez wszystkie mitologie są przyrzeczone i zaprzysiężone. Moim ideałem jest »dojrzeć« do dzieciństwa. To by dopiero była prawdziwa dojrzałość”.

W niewielkim miasteczku Drohobycz, skromny nauczyciel rysunku podjął się stworzenia nowego, własnego świata, swojej „prywatnej mitologii”. Schulz stał się twórcą Biblii, w której przedmiotem kultu jest uroda świata. „Otworzyłem ją — pisze Schulz — była to Biblia. Ujrzałem na jej kartkach wielką wędrowną zwierznię, pływających gościncami, rozgałęzioną pochodami po kraju dalekim (...)”.

W „prywatnej mitologii” Brunona Schulza Biblia jest pierwszym wcieleniem „Księgi dążącej do Autentyku”: „Egzegeci twierdzą, że wszystkie książki dążą do Autentyku. Żyją one tylko wypożyczonym życiem, które w momencie wzlotu wraca do swego starego źródła. Znaczy to, że książek ubywa, a Autentyk rośnie”.



Autoportret B. Schulza (tusz — 1924 r.)

Bruno Schulz wydał zaledwie dwie książki: „Sklepy cynamonowe” — w roku 1933 (z datą wyd. 1934) i „Sanatorium pod Klepsydrą” — w roku 1937. Pozostałe utwory: opowiadania i powieść pt. „Mesjasz” zaginęły. Wprawdzie Schulz debiutował późno (w czterdziestym drugim roku życia), ale nie można powiedzieć, że jego powołanie pisarskie pojawiło się późno. Pierwsze próby artystycznego wyrazu pojawiły się już w dzieciństwie. Z tych pierwszych olśnień czerpał jako dojrzały artysta.

Urodził się w Drohobyczu 12 lipca 1892 roku jako najmłodszy syn kupca-bławatnika. Już jako mały chłopiec pasjonował się rysowaniem, któremu pozostał wierny aż do końca. Marzył o tym, aby stworzyć dzieło, które łączyłoby elementy grafiki i słowa. Już w szkole napisał Bruno Schulz wypracowanie, które wzbudziło duże zainteresowanie. Cały zeszyt zapełniony był jakąś baśniową historią o koniu. Dyrektor szkoły zachował sobie to wypracowanie na pamiątkę, wypożyczał je innym, zachwycony niezwykłymi cechami wyobraźni i stylu dwunastoletniego chłopca. Te początki były dla Schulza zawsze ważne. Po latach pisał w jednym ze swych listów: „Okolo szóstego, siódmego roku życia powraca w moich rysunkach wciąż na nowo obraz dorożki z nastawioną budą, płonącymi latarniami, wyjeżdżającej z nocnego lasu. Obraz ten należy do żelaznego kapitału mojej fantazji (...). Nie wiem, skąd w dzieciństwie dochodzimy do pewnych obrazów o rozstrzygającym dla nas znaczeniu. Grają one rolę tych nitek w roztworze, dokoła których krystalizuje się dla nas sens świata. Do tych obrazów należy jeszcze u mnie obraz dziecka niesionego przez ojca przez przestrzeń ogromnej nocy, rozmawiającego z ciemnością. Ojciec tuli je, zamyka w ramionach, odgradza od żywiołu, który mówi i mówi, ale dla dziecka ramiona te są przeźroczyste, noc dosięga je w nich i poprzez pieszczoty ojca słyszy ono nieustannie jej straszliwe perswazje. I znękanie, pełne fatalizmu odpowiada na indagacje nocy, z tragiczną gotowością, całkiem zaprzędane wielkiemu żywiołowi, od którego nie ma ucieczki. (...) Te wczesne obrazy wyznaczają artystom granice ich twórczości”.

Słowo Schulza, obraz, mit — to tęsknota za pełnią dzieciństwa. Tkwiąc w szarej nudzie prowincji, przytoczony obowiązkami nauczycielskimi, Schulz uciekał do dzieciństwa, do swojego „raju utraconego”. Z Drohobycza wyjeżdżał czasem do Warszawy, do Lwowa, parę razy w góry — do Zakopanego, raz nawet do Paryża. Jednak większość życia spędził w swoim miasteczku. W roku 1934, po dziesięciu latach pracy nauczycielskiej w miejscowym gimnazjum, stał się Schulz znany w kręgach literackich — dzięki „Sklepom cynamonowym”. Po wydaniu drugiej książki został odznaczony Złotym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury.

Schulzowska wizja świata przebiega na pograniczu jawy i snu, na przecięciu dziecięcej wyobraźni i dojrzałego, opanowanego intelektualnie kunsztu artysty. Twórczość Schulza jest bogata i trudna to wyczerpania, jest wielką wizją ukazującą urodę świata.

Wakacyjne opowieści O... duchach

W ruinach pięknie położonego zamku, zwanego Kamieniec, jaki wznosi się nad wsią Odrzykoń, pojawia się o zachodzie słońca drobna postać w długiej zielonej sukni o renesansowym kroju. To zjawia karliczki Kasi — dwórki wojewodziny Barbary Kamienieckiej. Gdy król Zygmunt I poślubił piękną Bonę Sforza, młoda królowa chętnie widziała w swym otoczeniu równą jej wiekiem i — jak na owe czasy — wykształconą (znała nawet łacinę i włoski) panią Kamieniecką. Wśród jej dworek uwagę królowej zwróciła maleńka panna respektowa imieniem Katarzyna, córka szlachcica z ziemi krośnieńskiej, odznaczająca się urodziwym obliczem i bystrym umysłem.

Królowa Bona przyzwyczajona jeszcze we Włoszech do dworskich kartów, które według renesansowych obyczajów dawały splendoru orszakom, poprosiła panią Kamieniecką, by pozwoliła swej karliczce zostać na Wawelu. Po kilku latach Kasia poślubiła z woli królowej równie małego jak ona sama karła Kornelka. Miniaturową parkę królowa podarowała cesarzowi Hiszpanii Karolowi V, który z całej Europy sprowadzał na swój dwór maleńkich dworzan. W ten sposób Kasia z Kornelkiem znaleźli się na zamku w Granadzie. Jednak wśród wspaniałości zamkowych komnat i uroków ogrodów różanych, Kasia tęskniła za Odrzykoń, kazała przysiąc mężowi, że po śmierci pochowa jej prochy w ojczystej ziemi.

Jak wieść niesie, wojewodzina Kamieniecka — z rzadka otrzymująca wieści z Hiszpanii — nie wiedziała o śmierci swej wychowanki, ale pewnego wieczoru zobaczyła Kasię siedzącą na swym dawnym miejscu przed kominkiem. Zdziwiona postąpiła ku niej kilka kroków, a wtedy zjawa zniknęła. Odtąd często widywano Kasię na murach i dziedzińcu Odrzykonia, a czasem słyszano jej śmiech. Warto odwiedzić, podczas wędrówek wakacyjnych, Odrzykoń — może i nam pojawi się Mała Kasia.

Nie tylko zamki i pałace są siedliskiem duchów. W ciągu ostatnich lat donoszono o pojawieniu się duchów nawet w ... samolotach. I tak w październiku 1976 r. w londyńskim dzienniku „The Evening News” ukazała się notatka o tym, że sprzątacze z międzynarodowego portu lotniczego Heathrow pod Londynem zetknęli się z działaniem sił nadprzyrodzonych. Przytoczono przy tym wypowiedź przedstawiciela dyrekcji lotniska: „Donoszono nam, że w niektórych pasażerskich



odrzutowcach nadźwiękowych zachodzą niezwykle zjawiska; jak na razie nie umiemy ich wyjaśnić. Niektórzy sprzątacze twierdzą, że jakaś niewidzialna siła rzucała nimi na wszystkie strony, inni zaś, że ta sama siła nagle ich paraliżowała tak, że nie byli w stanie się poruszyć.

Najstynniejszą opowieść o nawiedzonych samolotach można znaleźć w książce pt. „The Ghost of Flight 401”, pióra amerykańskiego dziennikarza Johna G. Fullera. Mowa w niej o duchach ukazujących się w samolotach amerykańskich Wschodnich Linii Lotniczych. Legenda ta narodziła się w roku 1973, kiedy samolot tych linii, typu L-1011 TriStar — był to lot numer 401 — roztrzaskał się w pobliżu Florydy. W katastrofie zginęło blisko sto osób, m.in. pilot, kapitan Bob Loft, oraz mechanik pokładowy, Don Repo. Niedługo potem załogi pozostałych TriStarów zaczęły donosić o pojawianiu się na pokładach widmowych postaci, które niezwykle przypominały Lofta i Repo. Duchy te zachowywały się zawsze w sposób przyjazny, a piloci TriStarów odnosili wrażenie, że pragną zapobiec nowym katastrofom. Wówczas to John Fuller zebrał informacje o duchach i poświęcił im książkę, która stała się bestsellerem. Opisane w niej wydarzenia są najstynniejszą relacją o duchach, które wzbily się w przestworza.

Boicie się, że w samolocie może pojawić się widmo? Można zrezygnować z lotu i wsiąść do pociągu, a tam...

Pociąg duchów — ta niezawodna atrakcja lunaparków — ma swój odpowiednik w świecie rzeczywistym. W londyńskim dzienniku „The Morning Post” ukazała się wiadomość, a było to 14 listopada 1928 r., że pociąg 13.20 z Newton Abbot w hrabstwie Devon do stacji Paddington w Londynie jest pechowy ze względu na liczne nieszczęśliwe wypadki z nim związane. Prowadzący go maszyni-

sta J. Hibber z Newton Abbot zastąpił pewnego dnia, gdy pociąg pędził pełną parą do Londynu. Przeniesiony do poczekalni na dworu Exeter, Hibber zmarł po kilku minutach. Parę miesięcy wcześniej, gdy pociąg wjeżdżał na dworzec Paddington, skonał w nim nagle palacz, niejaki Powlessland, a w listopadzie 1927 r. palacz Walters padł ofiarą śmiertelnego wypadku, przygotowując lokomotywę do drogi. Ponieważ wydarzenia te rozegrały się na przestrzeni niespełna roku, pechowy pociąg zaczęto nazywać „pociągiem duchów”.

W Stanach Zjednoczonych słynny jest pociąg, który w kwietniu 1865 r. wioził na miejsce wiecznego spoczynku trumnę ze zwłokami prezydenta Abrahama Lincoln. Legenda głosi, że widmo owego pociągu ukazuje się niemal w każdej rocznicę wydarzeń z kwietnia 1865 r., przemierzając pewien odcinek toru w stanie Nowy Jork. Ponadto w jednym z wagonów gra widmowa orkiestra wojskowa, która jednak pozostaje niestykalna dla ludzkich uszu.

Wsiądźmy z pociągu i przejdźmy z Dworca Głównego w Johannesburgu przejściem podziemnym do gmachu Poczty Głównej. Jak się okazuje, to podziemne przejście jest podobno jednym z najczęściej nawiedzanych miejsc w Afryce Południowej. Podczas budowy tunelu jeden z robotników został zasypany przez obsuwający się piasek i od tej pory przemyka się tam nocą jego cień. O wstrząsających spotkaniach z tą nieszczęśliwą duszą relacjonowało już kilku-nastu pracowników poczty johannesburskiej.

I cóż, mili Czytelnicy, można by przypuścić, że wszędzie, gdzie się człowiek tylko znajdzie, może spotkać ducha. Ale chyba tak źle, to jeszcze nie jest...

(M.)

O zegarach i zegarkach

Warty i kasbu. Za twórców dzisiejszego podziału doby na równe 24 godziny uważa się Babilończyków. A stało się to na 5 tys. lat przed naszą erą. U Babilończyków początkowo doba dzieliła się na 6 części — trzy dzienne i trzy nocne, zwane „wartami”, które w dalszym ciągu dzielono na 60 części, a te znowu na 60. Na około 800 lat przed naszą erą prowadzili Babilończycy podział doby na 12 części zwanych „kasbu”. Kasbu dzielono na 30 us. Grecy, którzy przejęli system mierzenia czasu od Babilonu, mieli 24-godzinny podział doby.

Szin-tszing-san-ko. Chińczycy uważają się za twórców własnego systemu rachuby czasu, powstałego podobno na 3 tys. lat przed naszą erą. Dobę dzieli się w nim na 12 równych części, zwanych „szii”, te na osiem „ko”, które z kolei ulegają podziałowi na 15 „fen”, a feny — na 60 „miao”. Swoich podwójnych godzin — szii — Chińczycy nie ponumerowali, a nadali im nazwy odpowiadające dwunastu gwiazdozbiorom zodiakalnym. Powyższy tytuł w tłumaczeniu brzmi: godzina małpy, druga połowa, trzeci kwadrans, a po „naszemu”: godzina 16 minut 45.

Powąchaj, która godzina... W Chinach szerokie zastosowanie — oprócz zegarów słonecznych i wodnych — miały tzw. zegary ogniowe. Była to bądź świeca, wykonana ze specjalnej masy z odpowiednią podziałką, bądź proszek, wsypywany do rowków o fantazyjnych kształtach, zapalany na jednym końcu, bądź też pręty różnego kształtu i długości. Pewien chiński ogniozegarmistrz sporządzał podobno takie pręty z domieszką różnych kadzideł. O każdej godzinie taki „zegar” wydzieliał inny zapach.

W cieniu gnomonów. Na około 2 tys. — 3 tys. lat przed naszą erą pojawiły się w Egipcie, Chinach i Indiach, pierwsze tzw. „gnomony” — pionowe słupy lub pręty ustawione na płaskim terenie. Ich cień spełniał rolę dzisiejszych wskazówek. W Egipcie rolę gnomona spełniały pokryte hieroglifami obeliski, wykute z kamienia o przekroju kwadratowym, zwężające się ku górze. Najstarszy znany obelisk w świątyni Abusir wybudowany został około roku 2700 p.n.e.

Wynalazek boga. Według papirusów egipskich wynalazcą zegara wodnego był wszechstronnie mądry bóg Tot. W swych wycieczkach przyrodoznawczych zaobserwował on podobno, że pawiany oddają moc w regularnych odstępach czasu, dwa-ście razy na dzień. Naprowadziło go to na pomysł, żeby zbudować urządzenie, które robiłoby to samo i określało czas. Najstarszy z odnalezionych dotąd zegarów wodnych pochodzi z ruin świątyni Karnaku. Wykonany on został za panowania króla Amenhotepa (1415—1380 p.n.e.).

Klepsydry przeciw gadułom. Grecy lubili popisywać się retoryką. Nie wiadomo, czy pod wpływem słuchaczy znudzonych gadulstwem mówców, czy oczekujących niecierpliwie swej kolejki oratorów — wprowadzono na zebraniach publicznych „kłapę bezpieczeństwa” w postaci specjalnego rodzaju zegara wodnego, odmierzającego dopuszczalny czas trwania przemówienia; Grecy nazwali go „klepsydrą”. Klepsydra stanowiła od V stulecia p.n.e. niezbędny sprzęt w szkołach retoryki. Platon miał ponoć klepsydrę z urządzeniem alarmowym, która budziła jego uczniów do rannych zajęć.

Dante świadkiem. Od lat toczą się spory, któremu miastu przysługuje palma pierwszeństwa za posiadanie zegara mechanicznego. Jako pierwszy „oficjalny dokument”, stwierdzający istnienie zegarów mechanicznych w początkach XIV stulecia, uważa się... dwa fragmenty z trzeciej części „Boskiej Komedii” Dantego (okres pisania utworu: lata 1314—1321). Wszyscy historycy są zgodni, że zegar w kościele św. Gotharda w Mediolanie zbudowany został w roku 1335. W połowie XIV w. zegary



mechaniczne znajdowały się już w kilku miastach Włoch i Francji. Zegar wrocławski — najstarszy na ziemiach polskich — pochodzi z roku 1368.

Zegar mechaniczny. Zegar wieżowy zamku w Dover w południowej Anglii jest jednym z nielicznych zegarów mechanicznych, które przetrwały do naszych czasów bez późniejszych przeróbek. Pierwsze zegary mechaniczne nie posiadały ani tarcz, ani wskazówek. Godziny sygnalizowały biciem w dzwon. Zegar z Dover posiada dwa podstawowe mechanizmy: mechanizm bicia w dzwon i mechanizm chodu, który składa się z bębna i nawiniętej nań liny konopnej, na końcu której zawieszony jest potężnych rozmiarów obciążnik, często — olbrzymi kamień. Obciążnik powoduje obracanie się bębna, który wprawia w ruch cały system kół zębatach. Nie byłoby jednak zegara mechanicznego, gdyby nie było jeszcze jednego bardzo ważnego elementu — regulatora, który powoduje, że obciążnik nie spada nagle ruchem przyspieszonym, lecz powoli, ruchem jednostajnym. Wynalazca regulatora był zarazem wynalazcą zegara mechanicznego.

Zemsta mistrza Jana. Za czasów panowania Kazimierza Jagiellończyka (połowa XV wieku) miejska republika Gdańsk przeżywała okres świetności. Rada Miejska Gdańska postanowiła dla ozdobienia miasta zainstalować na wieży kościoła Mariackiego wielki zegar, którego wykonanie zlecono mistrzowi Janowi, słynnemu zegarmistrzowi. Pracował on nad tym zamówieniem 6 lat i w roku 1470 zegar został zamontowany na wieży kościelnej. Było to prawdziwe arcydzieło sztuki zegarmistrzowskiej. Zegar wskazywał nie tylko dni tygodnia, godziny i minuty, ale także godziny wschodu i zachodu słońca oraz księżyca na dany dzień, pory roku, daty świąt ruchomych, a nawet konstelacje gwiazd na określone dni. Poza tym, gdy zegar wybijał godziny, jeden z apostołów — co godzina inny — wstępował na galeryjkę przed tarczą i kroczył z jednego końca na drugi. Adam i Ewa pociągali za linkę poruszającą młotek, wydzwanający godziny. Sława mistrza Jana i gdańskiego zegara rozniósł się po całym świecie. Podobne zegary zapragnęły mieć inne miasta, a Lubeka złożyła u mistrza już zamówienie... Jednak ojcowie Gdańska nie chcieli dopuścić, by inne miasto miało posiadać takie чудо. Postanowili... oślepić mistrza, by nigdy już nie mógł zbudować podobnego dzieła. Tak też zrobili. Godzina zemsty dla oślepionego zegarmistrza wybiła wówczas, gdy jego zegar na wieży kościelnej zepsuł się. Żaden inny zegarmistrz nie mógł sobie poradzić z naprawą. Dokonał tego oślepiony mistrz Jan, gdy jednak zegar zaczął ponownie wybijać godziny, a cała Rada Miejska głośno objawiała swą radość — ślepiec chwycił za tryby i zniszczył precyzyjny mechanizm swojego zegara. Nim przejści grozą rajcowie zdążyli zareagować — mistrz Jan rzucił się z wieży kościoła na bruk. Tego zegara już nigdy nie zdołano naprawić.

Wakacje! Słońce, morze zieleni i kwiatów... Czas beztroskich zabaw, wycieczek, zawierania nowych przyjaźni. Jest też dużo czasu na programy telewizyjne, pójście do kina na ciekawy film lub — poczytanie ciekawej książki. Książek dla dzieci dziś jest bez liku, jedna piękniejsza od drugiej, bogato ilustrowane, jednym słowem — przepiękne! Komiksy, bajki z całego świata, zwłaszcza tego „disnejowskiego” — już dawno wyparty z księgarskiego rynku te dawne, stare, polskie baśnie i legendy... Czasem warto jednak do nich powrócić — one też mają swój niepowtarzalny, polski urok i czar... Proponujemy więc — zwłaszcza tym, którzy spędzają letni wypoczynek nad naszym morzem, w okolicach Gdańska, starą legendę o rzeźbiarzu, który wyrzeźbił na Ratuszu gdańskim na herbie miasta lwy oczekujące powrotu Gdańska do Polski. Napisał ją niegdyś Franciszek Fenikowski, i to tak pięknie, że warto ją przeczytać. Spróbujcie, a nie pożałujecie! A więc...

Lwy z gdańskiego Ratusza

Jest na Ratuszu głównym i jest w Gdańsku herb miasta, na który ze zdziwieniem patrzą przechodnie. Niby nic w nim niezwykłego. Tak samo jak na innych gdańskich herbach dwa kamienne lwy strzegą tarczy, na której — pod dwoma krzyżami — widnieje korona Kazimierza Jagiellończyka. A jednak jest w tym godle coś odmiennego, coś, co przyciąga spojrzenia, zastanawia i niepokoi.

Oto oba lwy herbowe, patrzące zawsze na siebie, tym razem odwróciły głowy i zdają się spoglądać w głąb ulicy Długiej, tam, gdzie pod ciemnym zrębem Węzienniej Wieży potyska złoceniami gzymsów, posągów i napisów triumfalna Brama Złota. Kiedy nad miastem zapada zmierzch i w oknach renesansowych, barwnych kamieniczek rozbłyskują pierwsze światła, kamienni strażnicy gdańskiego godła zdają się ożywać. Podnoszą

głowy, potrząsają kudłatymi grzywami i wytężają oczy pełne tęsknoty i niepokoju.

Przystają zdziwieni przechodnie u stóp kamiennych schodów wiodących do Ratusza, patrzą na piękny portal i pytają o imię mistrza, który wykuł w kamieniu to dzieło, skazując gdańskie lwy nieomylnym ciosem swego dłuta na milczącą tęsknotę i wieczne oczekiwanie.

Na imię było mu Daniel. Stary gdański majster Krzysztof, który uczył go stukotem kamieniarskiego młota i szczękiem dłuta, jakby magicznymi zaklęciami, wywoływał z głazów postacie pacholków miejskich, kupców i żeglarzy, często żartował z tego imienia.

— Był niegdyś taki Daniel, co z lwami żył w wielkiej przyjaźni. Babiloński król kazał go rzucić do lwiej jamy bestiom na pożarcie, ale one, zamiast rzucić się na chłopca, zaczęły się do niego łączyć. Myślę

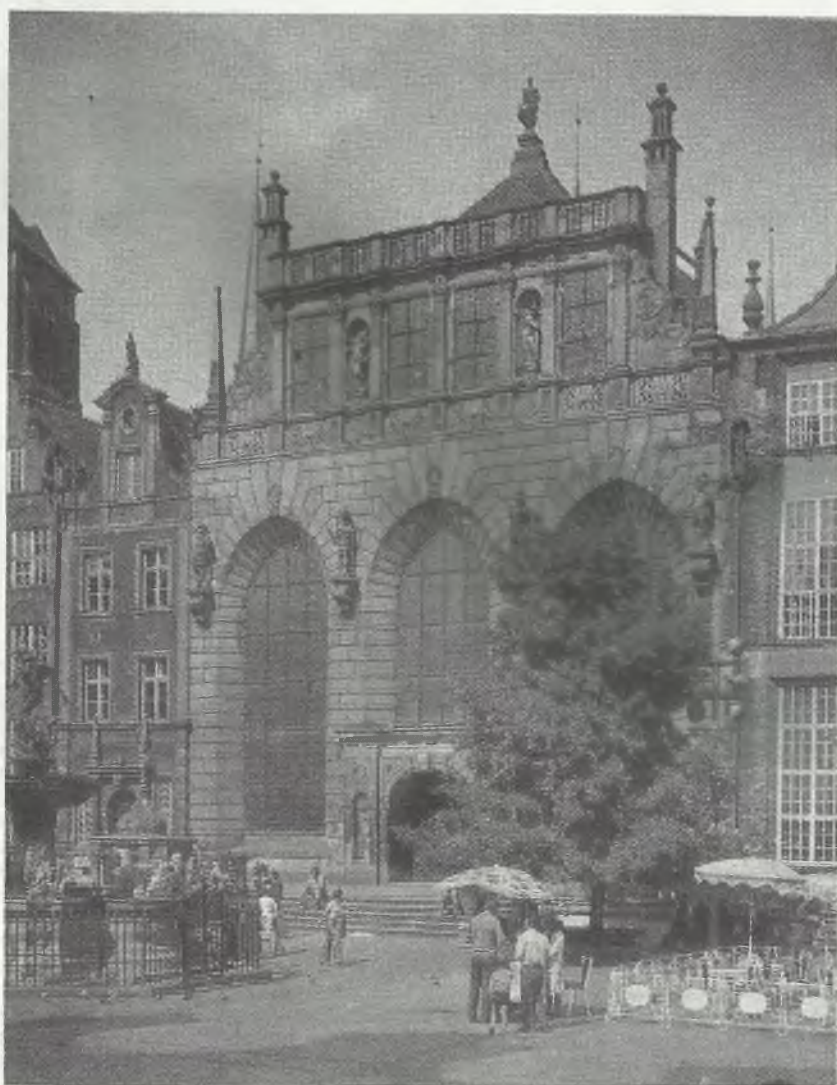
tedy, że i ty dasz sobie radę z tymi lwami, które zamówiła u mnie miejska rada.

I powierzał młodemu rzeźbiarzowi coraz trudniejszą robotę. Całymi dniami stukał kamieniarski młotek. Wychodziły spod dłuta figury rajców i świętych, nocnych stróżów i rycerzy. Najchętniej jednak rzeźbił lwy.

Przychodzili do jego warsztatu gdańscy rajcy, przyglądali się kamiennym lwiskom. Podziwiali ich otwarte paszcze, zjeżone grzywy, groźne ślepie.

— Mistrz z ciebie nie lada — mówili. — Lwy twoje są jak żywe. Aż dziw bierze, że nie ryczą...

Tym większy był ich podziw, że w owym czasie herbowe gdańskie lwy nie były już tak groźne, jak ongiś, dla nieprzyjaciół Rzeczypospolitej. Nad miasto nadciągały ciemne chmury. Król pruski Fryderyk, o złośliwej twarzy diabła z pomorskich



Gdańsk — gotycki Dwór Artusa z XV wieku

baśni, coraz chciwiej wyciągał grabieżcze ręce po bogaty nadmotałowski port.

— Żle się dzieje — narzekał siwy majster. — Gdybym nie był już tak stary, rzuciłbym dłuto i wziął muszkiet w ręce. Nabiję go którymś z tych polskich trojaków (dawna moneta) fałszowanych przez wroga i strzeliłbym nim prosto w serce pruskiego diabła. Mówili mi kaszubscy rybacy, że na czarty to jedyny sposób.

Ale miejscy rajcy nie byli tak dzielni, jak sędziwy kamieniarz. Fryderyk tymczasem coraz ciaśniej zaciskał swą pętlę na szyi miasta. Pod czerwonymi murami kwidzyńskiego zamczyska zbudował na piaszczystej łasze, leżącej pośrodku Wisły, komorę celną i pod grozą dział i muskietów żołnierskich ściągał bezprawnie cło z każdego statku i łodzi, idącej rzeką do Gdańska.

— Im bardziej ciężki będę jako wróg — mówił — tym chętniej przyjmę mnie jako władcę!

I jak prawdziwy diabeł kusił gdańszczan, by oddali się pod jego opiekę i otworzyli mu bramy upragnionego miasta. Mieszczanie nadmotałowskiego portu wierni jednak byli Polsce i odpowiadali, że nie chcą „zobowiązywać się do niczego, co by było przeciwne wierności powinnej królowi jegomości i najjaśniejszej Rzeczypospolitej”.

W tym właśnie trudnym czasie rajcy postanowili przyozdobić głównomiejski Ratusz. Któż by mógł lepiej wykonać to dzieło, niż mistrz Daniel. Jemu więc też powierzono tę pracę. Burmistrz wezwał rzeźbiarza na Ratusz i w pięknej Czerwonej Komnacie, na której powale barwił się obraz wystawiający wieczne przymierze Gdańska z Polską, tak powiedział:

— Wykuj mi w kamieniu nasz herb! Niech go trzymają dwa lwy, wielkie gdańskie lwy, mądre i groźne dla nieprzyjaciół. Niech przypominają po wieczne czasy potęgę naszego miasta.

Daniel pochylał głowę.

— Uczynię, jak sobie życzycie! — zapewnił, i wróciwszy do swego warsztatu, od razu zabrał się do dzieła.

Kiedy przystąpił do kucia herbu, odwiedził go stary mistrz i przyjaciel.

— Widzę, że jak ci przepowiadałem, żyjesz z lwami za pan brat — powiedział, przyglądając się robocie. To dobrze! Mało teraz lwów na świecie. Za to nie brak lisów, wilków i tchórzów.

Daniel wyprostował się, odgarnął z czoła zlepione potem kosmyki włosów i odparł:

— Postaram się, żeby moje lwy przypomniły tym wilkom, lisom i tchórzom o dawnych lwich cnotach Gdańska...

— Cóż to za cnoty?

— Męstwo i wierność.

— Jak to uczynisz?

— Obaczysz, mistrzu, w dzień kiedy ukończę moje dzieło.

Nadszedł wreszcie ów dzień. Mistrz Daniel wraz ze swymi czeladnikami wmurował nowy portal w ceglana ścianę Ratusza. Pięknie jaśniały kamienne balustrady, kolumny i gzymsy na tle starych, pociemniałych cegieł. Tłum podziwiał w milczeniu wspaniałe dzieło. Ale nie było okrzyków radosnych, nie było wesela. Gdańszczanie, pochmurni jak niebo nad ich miastem, wiedzieli, że coraz bliżej dudnią kroki batalionów pruskiego króla, wiedzieli, że szpiedzy chytręgo Fryderyka kręcą się po mieście, że lada chwila ze skłębionych chmur może uderzyć grom. Ciszę, jaka zaległa na Długiej i Długim Targu, przerwał nagle czyjś głos:

— Patrzcie! Patrzcie na lwy! Oba zwróciły głowę w jedną stronę. Pomylił się nasz mistrz!

Podnieśli głowy rajcy, mieszczenie i żołnierze. Oba lwy patrzyły ku Złotej Bramie.

— Co za błąd! — szepnął burmistrz.

W tejże chwili na kamienne schody przedproża wdarł się jakiś stary kamieniarz w spłowiałym kaftanie.

— To nie błąd! — zawołał. — Czyż nie pojmujecie, co to ma znaczyć?

Odpowiedziało mu milczenie. Więc mówił dalej. W oczach błyszczał mu ogień, a wiatr rozwiewał siwe włosy, kiedy tłumaczył:

— Patrzą te lwy ku Złotej i Wyżynnej Bramie. Patrzą tam, gdzie zaczyna się Królewska Droga, w stronę, z której przybywają do naszego miasta polscy władcy. Mistrz Daniel pragnął wam przypomnieć, że nie darmo król Kazimierz zawiesił nad herbowymi krzyżami Gdańska swoją koronę. Ogłasza ona wszem i wobec, że Polska to matka nasza i opiekunka. Wiedzą o tym gdańskie lwy i dlatego niewzruszone i wierne wypatrują monarchy Rzeczypospolitej, czekając na jego powrót.

Szmer przebiegł przez tłum.

— Oby wrócił jak najspieszniej i wziął nas w obronę przed wrogiem! — wzdychali mieszczenie.

— Oby nie zapomniała Polska o Gdańsku!

Wkrótce na ulicach miasta zadudniły buty nieprzyjacielskich żołnierzy i biły posępny, pogrzebowy werblem przez półtora wieku. Sposepniały twarze polskich królów wykute na gmachach przy Długim Targu, spochmurniał Jagiełło na Złotej Kamienicy, spochmurnieli Zygmunt Waza i Władysław IV na portalu Artusowego Dworu. Opuścił smutnie głowę Neptun stojący na kamiennej fontannie. Kurantowe zegary na gdańskich wieżach żałośnie wydzwaniały godziny niewoli.

Długo czekały kamienne lwy z gdańskiego Ratusza na powrót Polski. Nocami, kiedy tylko od Złotej Bramy dobiegały odgłosy kroków czy tętent koni, podnosiły grzywiaste łby, wpatrywały się w ciemność i pytały jeden drugiego:

— Czy to powraca polski król?

— Czy zbliża się Rzeczpospolita?

Ale miały lata, a dokoła gdańskiego Ratusza wciąż rozbrzmiewała obca mowa i obce pieśni. Aż pewnego wiosennego dnia zatrzęsły się mury miasta, zakotłowały wieże. Potężny huk armat wdzierał się w ulice, którymi pierzchali w popłochu przerażeni wrogowie. Podniosły głowę ratuszowe lwy.

— Słyszysz, bracie, te grzmoty? — mruknął pierwszy. — Nie pamiętam takiej burzy.

— To Polska wraca! — ucieszył się drugi. — Jej powrót wieszczą te wiosenne gromy i błyskawice. Czy nie widzisz?

Spod łuku Złotej Bramy wtoczył się w ulicę Długą pierwszy czołg z białym orłem na wieżyczce. Podjechał pod Ratusz i zatrzymał się na Długim Targu. Otworzyła się żelazna kłapa. Z wieżyczki wyskoczył młody żołnierz z białoczerwonym sztandarem w ręce, podbiegł do Dworu Artusa i wspiął się na jego szczyt. Kiedy wtoczyły się na gdański rynek inne czołgi, załogi ich ujrzały czerwień i biel powiewającą nad miastem w porywistym, bałtyckim wicherze.

— Gdańsk znowu nasz! — zawołał żołnierz. Wróciliśmy! Odzyskaliśmy miasto! Na zawsze!

Potrząsnęły grzywami kamienne lwy i zaryczały radośnie, tryumfalnie. A wtórował im basowy chór dział i Bałtyk, bijący falami o piaszczyste, odzyskane Wybrzeże...



Czas urlopów: może nad morze?

Jeśli nad wodę — stoną czy słodką — to na pewno zechcemy się wykapać. Żeby zaś się wykapać — trzeba wejść do wody. Pamiętajmy jednak, zwłaszcza przy pierwszych kąpielach, że musi to następować powoli i stopniowo. Zamoczmy najpierw ramiona, kark, piersi i pochlapmy się trochę. Wię-

szczość z nas może się kąpać przy temperaturze wody 18°C. Oczywiście, doświadczeni i zahartowani pływacy kąpią się również w wodzie dużo zimniejszej, ale takich jest niewielu. Pamiętajmy, że zimna woda sprzyja skurczom i przede wszystkim wstrząsowi termicznemu. Jeśli więc pocujemy nagłe ciepło po wewnętrznej stronie ud, na brzuchu na ramionach, jeśli odcujemy spadek sił, przed oczami pojawia się mgiełka, a w uszach zacznie szumieć — to są to niechybne oznaki nadchodzącego załbanienia. Trzeba wówczas jak najszybciej wyjść z wody i położyć się w cieniu. Ostrożnie też z „odświeżającymi” kąpielami po długim opalaniu! Przed wejściem do wody trzeba koniecznie odpocząć chwilę w cieniu. A potem — żabka, crawl, motylek...

A może gdzieś na równiny?...



Na przykład z aparatem fotograficznym, w poszukiwaniu ciekawych krajobrazów. Na pozór bowiem krajobraz równinny wydaje się monotony, ale przecież płaską linię horyzontu łatwo wzbogacić takimi elementami, jak drzewa, rzeki, chmury... Można fotografować szerokie, pełne rozmachu przestrzenie — a można pojedyncze, charakterystyczne drzewa, fragmenty pól, rzek... Przy czarno-białych fotografiach krajobrazu, pozornie tylko mało atrakcyjnych, koniecznie trze-

ba pamiętać o odpowiednich filtrach, gdyż bez nich niebo stanie się płaskie i bure. Nad morzem trzeba używać filtra UV, zatrzymującego nadmiar promieni ultrafioletowych. Czas 1/60 s, odpowiedni dla elementów stałych, ruchliwą wodę zmieni w nieregularną smugę, natomiast 1/125 s zatrzyma w locie ptaka, a kroplę wody nad liściem. Między zaś jednym i drugim miejscem — i powoli płynące obłoki, i krocący po łące bocian...

Zapraszamy do Wągrowca

... na egzamin z fotografowania — po ukończonym kilka minut temu „Kursie korespondencyjnym” na tej samej stronie! W Wągrowcu bowiem trzeba będzie odpowiednio dobrać czas ekspozycji i sfotografować... skrzyżowanie rzek. Właśnie tak, prawdziwe skrzyżowanie, ponieważ obie rzeki, Wełna i Nielba, przepływają przez siebie „na krzyż” i nie łącząc się płyną dalej, każda swoim korytem. Jak wykazały dokładne, przeprowadzone w latach siedemdziesiątych badania, rzeka Wełna, płynąca równoleżnikowo od wschodu, ma nieco szybszy nurt i większą objętość przepływu, zabiera więc Nielbie na „skrzyżowaniu” niewielką ilość wody. Dzięki badaniom, wykonanym m.in. przy użyciu fluoresceiny, stwierdzono, że rzeki Wełny płyną w punkcie krzyżowania bliżej zwierciadła wody, podczas gdy wody Nielby — bliżej



dna. Dla wygody turystów, chcących obserwować to rzadkie zjawisko, wybudowano nad Nielbą mostek — skąd właśnie możesz, drogi Czytelniku, sfotografować to niezwykle „skrzyżowanie” — i przestać zdjęcie do naszej Redakcji. Zachęcamy zresztą do przesyłania zdjęć różnych ciekawych i malowniczych miejsc i krajobrazów — a być może najlepsze z nich będzie można zobaczyć na łamach „Rodziny”!

„Dietetyczny” test

Lattem bardzo często zaczynamy „nowe życie” i obiecujemy sobie wytrwałość w stosowaniu różnych diet odchudzających. A oto krótki test, sprawdzający wiedzę naszych Czytelników o różnych dietach. Na pytania odpowiadamy „tak” lub „nie”, a prawidłowych odpowiedzi szukamy na sąsiedniej stronie.

TAK NIE

1. Mężczyźni chudną szybciej niż kobiety
2. Jeden litr oranżady to ok. 20 łyżeczek cukru
3. Jeśli chcesz schudnąć, lepiej jeść ryż niż ziemniaki
4. Lepiej jeść pięć małych posiłków, niż 3 obfite
5. Margaryna dietetyczna zawiera tyle tłuszczu, ile zwykła albo masło
6. Grzanki mają mniej kalorii niż zwykłe kromki
7. Nawet jeśli stosujesz dietę powinnaś jeść jeden gorący posiłek dziennie
8. Duża ilość picia pomaga w chudnięciu
9. Jogurt naturalny zawiera mniej kalorii niż jogurt chudy z owocami
10. Jeśli chcesz jeść mniej tłuszczu — zrezygnuj raczej ze śmietany niż z masła.

Bądź miła dla swojej twarzy!

Podczas wakacji pozwól jej również odpocząć! Zmywaj ją wodą przegotowaną, albo mineralną, a najlepiej mleczkiem lub śmietanką. Potem, gdy wątka będzie już czysta — daj swojej cerze trochę toniku, który poprawi koloryt, nawilży i pojedrni skórę. Ponieważ zaś jest „sezon „ogórkowy” — nie

żałuj jej tego zielonego kosmetyku! O tej porze roku działanie wszelkich kremów i maseczek jest bardziej efektywne, więc skutek kilku plasterków „mizerii” na twarzy będzie szybko widoczny. Jeśli nie jesteś uczulona, możesz też stosować truskawki nie tylko „wewnętrznie”, ale i „zewnętrznie” — przez posmarowanie jednym rozgniecionym owocem. Jeśli

potem chcesz koniecznie umyć twarz mydłem — pamiętaj, że powinno być delikatne, o odczynie lekko kwaśnym, ale lepiej zastosować tonik i krem nawilżający.

Nie zapomnij też o dłoniach!

Czy w czasie letnich upałów pocą Ci się dłonie? Mamy na to dobrą radę: znakomitym





Fryzura na upały

Panie, mające piękne długie włosy, mogą być z nich rzeczywiście dumne. Kłopot polega na tym, że w czasie letnich upałów wolałybyśmy, aby były one trochę krótsze — bez obcinania. Oto więc propozycja letniej fryzury dla długich włosów, odstawiającej kark, czoło i oczy: zapleciony w „kłosek” warkocz z włosów zebranych po jednej stronie twarzy.

Trochę gimnastyki?

„Gimnastyka jest powszechnie dzisiaj poszukiwaną i zalecaną dla płci obojczy. Matki atoli niemało sprzeciwiają się gimnastyce, jako nieprzyzwoitej dla dziewcząt. I mają rację. Panienci nasze nie potrzebują być baletniczkami i linoskoczkami. Wszakże bez gimnastyki prababkom naszym zdrowie służyło. Praca ręczna, starania gospodarcze — oto najlepsza gimnastyka dla naszych panienek”.

Nasze Czytelniczki pewnie już oczom własnym nie wierzą! Czyżby to wpływ „dziury ozonowej”, najpierw zalecającej, by się nie opalać, a teraz i nie gimnastykować? Na szczęście nie! Porady pochodzą bowiem z poprzedniczki „Kobiety i Życia” — „Niewiasty”, ale z roku 1860!

Letnie (i nie tylko) bukiety

Na pewno w każdym domu znaleźć można piękne, przezroczyste wazony lub wazy, dość szerokie, w których nie zawsze uda się ułożyć ładny bukiet. Naczynia te można jednak doskonale wykorzystać, zarówno dla bukietów dużych, jak i dla niewielkich, a nawet dla pojedynczych kwiatów: w

niektórych kwaciarniach można ostatnio kupić dekoracyjną, białą lub kolorową grys — czyli drobny żwir, który, umieszczony w wazonie na odpowiednią grubość, ułatwi ułożenie bukietu. Doskonale nadają się też do tego celu szklane kulki, również dostępne czasem w sklepach z zabawkami lub kwaciarniach. Zachęcamy do wypróbowania!



Spotkanie ze żmiją

I to może się zdarzyć podczas letnich wędrowek. U większości z nas takie spotkanie budzi lęk i odrazę, ale w żadnym wypadku nie powinno budzić paniki. Żmija nie jest zwierzęciem inteligentnym. Ze wszystkich zmysłów najlepiej rozwinięty ma węch, „umieścawiony” w długim, cienkim, rozwidlonym języku. Gdy atakuje z odległości kilkudziesięciu centymetrów i otwiera szeroko szczękę, jej zęby jadowe ustawiają się pionowo.

Żmija nie atakuje człowieka. Zagrożona — kąsa go we własnej obronie. Na ciele widać wówczas dwa czerwone punkciki, pojawia się silny ból, zaczerwienienie, obrzęk. Mogą wystąpić nudności, wymioty i osłabienie.

Udzielając pierwszej pomocy należy jak najszybciej założyć nad miejscem ukąszenia opaskę uciskową (pasek, chusteczka, itp.), tak mocno, by z trudem wchodził pod nią palec. Jeśli to możliwe — ranki należy rozciąć na głębokość 5-8 mm wzdłuż kończyny, na długości 1 cm, a po rozchyleniu brzegów odsysać — najlepiej gruszką gumową, ale też kieliszkiem, wąską szklaneczką — tylko nie ustami. Kończynę trzeba unieruchomić, a poszkodowanego przewieźć jak najszybciej do szpitala.

Letnie przysmaki

Fasolka szparagowa z owocami

60 dag fasolki szparagowej, 50 dag jabłek lub gruszek, kilka łyżeczek octu winnego lub domowego owocowego wina, 4 dag masła lub margaryny, sól, cukier, cynamon, goździki, skórka cytrynowa, sok z cytryny.

Fasolkę oczyścić z włókien, odciąć końce, pokrajać na 4-5 cm kawałki, zalać wrzącą osoloną wodą z dodatkiem cukru, ugotować. Odcedzić fasolkę i przełożyć do rondla. Owoce umyć, wydrążyć, pokrajać na cząstki i włożyć do fasolki razem z przyprawami, skropić winem i sokiem cytrynowym, dodać startą skórkę cytrynową i masło, dusić 5 min pod przykryciem, doprawić do smaku.

Placek z czereśniami

30 dag mąki, 3 dag drożdży, 3/4 szklanki mleka, 8 dag cukru, 2 żółtka, pół kostki margaryny, 75 dag czereśni, łyżka cukru pudru.

Do przesianej mąki dodać szczyptę soli, rozmieszane w łyżce ciepłego mleka drożdże, stopiony tłuszcz i połowę mleka. Ciasto powinno się lekko rozlewać. Można dodać trochę startej skórki cytrynowej albo pomarańczowej, drobno pokrojonej. Wyłożyć na wysmarowaną blachę z obrzeżem, odstawić, aż zacznie rosnąć. Wtedy ułożyć umyte i wydrążone czereśnie, otworami do góry. Piec najpierw w niezbyt gorącym piekarniku, gdy wyrosnie — zwiększyć temperaturę. Upieczone gorące ciasto posypać cukrem pudrem.



Test „dietyczny” — odpowiedź!

1. Tak — bo spalają dwa razy więcej kalorii
2. Nie — zawiera 40 łyżeczek cukru!
3. Nie — 100 g ryżu = 150 kalorii, 100 g ziemniaków — 85.
4. Tak.
5. Tak — wszystkie mają ok. 80% tłuszczu, w dietetycznej tłuszcz jest „zdrowszy”.
6. Nie — grzanki są tylko lekkostrawne.
7. Nie — chodzi tylko o ilość białek i witamin, nie o temperaturę.
8. Tak — bo uśmierza apetyt i wyplukuje trucizny.
9. Tak — mniej kalorii ma tylko jogurt chudy bez owoców.
10. Nie — w maśle i margarynie jest ok. 80% tłuszczu, w śmietanie 30 do 40%.

środkiem jest szatwia, znany środek przeciwpotowy. Już jednorazowe wypicie naparu szatwi powoduje, że po 2—3 godzinach następuje zahamowanie wydzielania potu na okres ok. 2 dni. Można też z naparu szatwi zrobić kąpiel dla dłoni, albo okłady na wewnętrzne strony dłoni. Dobre efekty daje też kąpiel w odwarze igli-

wia sosnowego, albo przetarcie świeżo umytych rąk sztyftem przeciwpotowym. Można też spryskać je dezodorantem i dobrze go rozetrzeć. Ale przede wszystkim nie zapominajmy o szatwi!



Jaką jesteś koleżanką?

Od tego, jakie jesteśmy — życzliwe, szczerze, uprzejme, gotowe do pomocy — zależy nie tylko sympatia otoczenia, ale i atmosfera w miejscu pracy. Masz teraz więcej czasu — pomyśl więc o tym, jaką jesteś koleżanką? Czy można Ci zaufać, liczyć na Twoją pomoc w potrzebie? Czy jesteś lubiana, czy tylko tolerowana w towarzystwie? Jeśli chcesz się dowiedzieć, odpowiedz po kolei na 10 pytań tego testu. Przy każdym pytaniu zdecyduj się na tę odpowiedź, która jest — Twoim zdaniem — najstuszniejsza.

1. Jak zachowywali się Twoi rodzice wobec ludzi, którzy byli dla nich w jakimś stopniu autorytetami: lekarzy, nauczycieli, pedagogów?

- A. Ufali im uważając, że wiedzą, co robią, bo są wykształceni.
- B. Byli do nich nastawieni krytycznie.
- C. Stosunek do nich uzależniali od ich cech osobistych.

2. Koleżanka pracuje znacznie wolniej od Ciebie. Jej pracę musisz wykonać Ty. Jak to przyjmujesz?

- A. Czujesz się wykorzystywana, zwalniasz tempo.
- B. Rozumiesz, że nie wszyscy mogą pracować jednakowo i pomagasz jej.
- C. Starasz się podzielić pracę, bo — mimo różnego tempa — posuwała się sprawnie.

3. Z trzech przedstawionych sytuacji wybierz tę, która najworniej określa Twój stosunek do szefa i koleżanek.

- A. Szef, przede mną koleżanki i koledzy — ja na końcu.
- B. Szef, ja, koleżanki i koledzy w tyle.
- C. Ja na pierwszym miejscu, później — szef i koledzy.

4. Koleżanka ma jakieś kłopoty i bez przerwy popełnia błędy. Jak się wobec niej zachowujesz?

- A. Myślisz — prywatne sprawy trzeba zostawić w domu i traktujesz ją bez taryfy ulgowej.
- B. Proponujesz: zrobmy sobie przerwę i opowiedz mi, co Cię tak dręczy, a będzie Ci lżej.
- C. Przekaż mi te sprawy, z którymi dziś sobie nie radzisz, a ja je załatwię.

5. Gdy widzisz koleżankę, rozmawiającą z kolegą, o czym myślisz, że mu opowiada:

- A. O swym samopoczuciu.
- B. O sytuacji domowej.
- C. O sprawach służbowych.

6. Jak starasz się „złapać oddech” w ciągu dnia pracy?

- A. Robię sobie kilka krótkich przerw na papierosa.
- B. Odprężam się tylko raz nieco dłużej, przy drugim śniadaniu.
- C. Pracuję bez przerwy, kanapkę jem „w biegu”.

7. O czym najchętniej podczas przerwy w pracy rozmawiasz z koleżanką?

- A. O sprawach związanych z Twoją rodziną.
- B. O polityce.
- C. O modzie i plotkach z „eleganckiego świata”.

8. Twojej bliskiej znajomej udało się awansować — m.in. dlatego, że spokojnie i rzeczowo udowodniła dyrektorowi niekompetencje jej bezpośredniego szefa. Jak oceniasz jej zachowanie?

- A. Zachowała się bez żadnych skrupułów, chcąc osiągnąć sukces kosztem innej osoby.
- B. Nie było w tym nic nagannego, w pracy przede wszystkim liczą się kompetencje i fachowość.
- C. Popelniła błąd; swoje zastrzeżenia powinna przedstawić swojemu bezpośredniemu szefowi.

9. Jak często w ciągu ostatnich kilku dni powiedziałaś coś niezyczliwego o innych, np.: „Kowalska znów ubrała się jak papuga”.

- A. W ogóle nie, a może raz.
- B. Dwa do czterech razy.
- C. Może z pięć razy albo więcej.

10. Przyjaciółka kupiła sobie nową garsonkę i chciałyby usłyszeć Twoją opinię. Garsonka ta nie podoba ci się. Jak reagujesz?

- A. Nie chcąc psuć jej radości, mówisz: „Rzeczywiście, ładna”.
- B. „Mnie się nie podoba, ale to kwestia gustu”.
- C. Nie chcąc jej urazić, a jednocześnie być nieszczerą, mówisz: „Powie ci, gdy się z nią oswoję”.

Oto tabela, na której należy zaznaczyć przy każdym pytaniu wybraną odpowiedź, a następnie zsumować liczbę punktów.

		A	B	C
pytanie	1	1	3	2
pytanie	2	2	1	3
pytanie	3	3	2	1
pytanie	4	1	3	2
pytanie	5	2	1	3
pytanie	6	3	2	1
pytanie	7	1	3	2
pytanie	8	2	1	3
pytanie	9	3	2	1
pytanie	10	1	3	2

Jeżeli uzyskałaś

25—30 punktów:

Jesteś idealną koleżanką. Otoczenie ceni sobie wysoko Twoją otwartość i szczerowość. Nie obgadujesz kolegów za ich plecami. Jesteś zawsze gotowa do pomocy, do zastępstwa, jeśli ktoś ma prawdziwe kłopoty. Nie dajesz się jednak wykorzystywać. Wszyscy Cię poważają i lubią. Nie słuchasz plotek, nie jesteś zazdrosna o pieniądze. Można powiedzieć, unikat...

16—24 punktów:

Lubi Cię szef i większość kolegów, chyba dlatego, że mimo nerwowej i wymagającej dużej koncentracji pracy potrafisz zachować pogodę, równowagę psychiczną i dzięki temu łagodzić napięcia i sytuacje konfliktowe. Czy przypadkiem jednak zbyt pochopnie nie ferujesz wyroków? Nie przemilczasz tego, co Ci się nie podoba? Na szczęście, niewiele Ci brakuje, abyś była lubiana powszechnie.

10—15 punktów:

Czy zadawałaś sobie pytanie, dlaczego, mimo dużej wiedzy i zawodowych kwalifikacji, nie cieszysz się sympatią wśród koleżanek? Bardzo często podłożem pewnych animozji bywa brak wewnętrznego przekonania o swoich wartościach, rodzaj kompleksu niższości. Aby stać się dobrą koleżanką, musisz wierzyć w siebie, wzmocnić swoje poczucie wartości, a wtedy i koledzy zmienią powoli swój stosunek do Ciebie.

Pan Krzysztof M. z Wałbrzycha pyta: Ostatnio wiele słyszałem o fundamentalistach, którzy dosłownie rozumieją poszczególne wypowiedzi autorów natchnionych Pisma Świętego. Jakie jest w tej sprawie stanowisko duszpasterza?

Przede wszystkim chciałbym przypomnieć, że Pismo Święte jest nie tylko Słowem Bożym, ale także księgą ludzką. Dlatego przy czytaniu Biblii obowiązują podobne zasady, jak przy interpretacji wszelkich innych dzieł literackich — a ich celem jest zrozumienie sensu czytanych zdań. Zasadami znajdowania sensu Pisma Świętego zajmuje się heurystyka — od *heurisko* „znajduję”.

Zdania zawarte w Piśmie Świętym posiadają sens, który Bóg wyraża za pośrednictwem słów użytych przez pisarzy natchnionych. Jest to sens dosłowny, który niekiedy wykracza poza najbliższy kontekst i bywa uwarunkowany myślami przewodnimi całego objawienia biblijnego oraz wschodnim sposobem myślenia.

Może być wiele niedostojnych sensów, np. metaforyczny: „*wy jesteście światłem świata...*”; alegoryczny w tekście o dobrym pasterzu (J 10); hyperboliczny i inne.

Natomiast fundamentaliści — także dzisiejsi — głoszą, że całą Biblię należy rozumieć dosłownie; a więc np. świat został stworzony w ciągu sześciu dni. Nawiązują oni do sformułowanych przez władzę prezbiteriańskie w roku 1910 fundamentalnych zasad wiary chrześcijańskiej.

W ciągu ostatnich lat fundamentalizm nabrał nowego znaczenia, łączymy go z konserwatywną postawą np. islamu, gdzie czyni się z religii ideologię państwową. A więc fundamentalizm może mieć szerszy sens niż zasada dosłownej interpretacji Biblii.

Ostatnio do naszej Redakcji przyszło wiele listów, w których

Czytelnicy pytają: „Jak to jest z tą boskością władzy ludzkiej?, czy rzeczywiście władza pochodzi od Boga?”

Rozważając potrzebę, a nawet konieczność ustalenia pewnego ładu społecznego i jego przestrzegania, teologia przypomina, że Bóg stworzył człowieka, a więc także jego naturę i jej istotne potrzeby oraz warunki harmonijnego rozwoju osobowości ludzkiej. Wobec tego władza, która w skali indywidualnej i społecznej jest konieczna do realizacji ładu i rozwoju osoby ludzkiej — również pochodzi od Boga. Władza pochodzi od Boga w tym sensie, w jakim np. pochodzi od Boga zmysł, rozum, zdolność wnioskowania itp.

Jednocześnie należy podkreślić, iż z tego faktu wcale nie wynika, że postuśnienie każdej władzy jest nakazem wiary, choć pozornie tak myśleli: „skoro władza pochodzi od Boga, a więc ład, który ją stanowi jest Bożym ładem i obowiązuje pod grzechem”. W imię tak sformułowanej zasady wyrządzone wiele zła.

Nasze rozumowanie musi iść inną drogą; skoro władza pochodzi od Boga, to nie może ona być nierozumnym impulsem, nienawiścią, krzywdą, ale właśnie rozumnością, sprawiedliwością, miłością itp. Natomiast ludzie poddani władzy nierozumnej, niesprawiedliwej, czyniącej zło i krzywdę lub postępującej się metodami niegodziwymi, mają prawo i obowiązek sprzeciwu wobec elementów zła i nierozumności. Dlatego nie można mówić o boskości władzy ludzkiej — w żadnej formacji ustrojowej — jako o wartości samej sobie. Postuśnienie władzy obowiązuje jedynie wówczas gdy władza sprawowana jest rozumnie, sprawiedliwie, z miłością, środkami godziwymi.

Natomiast Pani Agnieszka W. z Zielonej Góry napisała: *Chociaż w moim domu Biblia była od*

wielu lat, ja ją odkryłam niedawno. Dziś, gdy przesłam na emeryturę, często sięgam do Pisma św. Mam też wiele pytań i wątpliwości, np. jak powstały Ewangelie?

Jezus w swym nauczaniu nie postuśował się słowem pisany, lecz mówionym. Dlatego polecił tym, którzy Mu towarzyszyli, aby również głosili — nie pisali — Jego naukę. Gdy jednak z upływem lat topniała liczba naocznych świadków działalności Jezusa, a chrześcijaństwo swym zasięgiem poczęło obejmować coraz rozleglejsze tereny, powstała potrzeba zapisania mów i relacji o czynach Jezusa. Oczywiście, nie chodziło tu o spisanie wszystkich słów i czynów Jezusa, według ich chronologicznego następstwa z dokładnym uwzględnieniem topografii poszczególnych wydarzeń. Autorom chodziło przede wszystkim o to, aby osoby, które czytają ten tekst uwierzyli i przyłączyły się do prawd Ewangelii.

Przy redagowaniu Ewangelii rolę dość znaczną odgrywało środowisko wczesnochrześcijańskie. Można powiedzieć, że Ewangelie były pisane dla zaspokojenia potrzeb polemiczno-apologetycznych, katechetyczno-misyjnych tych środowisk. Chociaż przedstawiali oni tam także swoje własne tezy teologiczne, nieco odmienne w każdej Ewangelii. Myśl przewodnią np. Ewangelii według św. Mateusza sprowadza się do tezy następującej: w osobie, w życiu, w czynach i w nauce Jezusa urzeczywistnia się wszystkie proroctwa mesjańskie Starego Testamentu. Jezus jest Mesjaszem, a założony przez Niego Kościół — to prawdziwe Królestwo Mesjańskie.

Korzystając z okazji przesyłam wszystkim Czytelnikom najserdeczniejsze życzenia

DUSZPASTERZ

rodzina

MIESIĘCZNIK KATOLICKI

na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PBK XIII Oddział w Warszawie 370044-1195. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumery krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy; Terminy przyjmowania prenumery na kraj i za granicę: — od dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; — do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumery roku bieżącego. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych. Druk: Zakład Poligraficzny Instytutu Wydawniczego im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, ul. Czardasza 16/18. Zam. 30/92.

